

+P3

TEATR POLSKI BYDGOSZCZ

Fiodor Dostojewski

ŁAGODNA



Fiodor Dostojewski

ŁAGODNA

Fiodor Dostojewski

ŁAGODNA

REŻYSERIA, SCENOGRAFIA, ADAPTACJA TEKSTU,

OPRACOWANIE MUZYCZNE Barbara Wysocka

KOSTIUMY Mirek Kaczmarek

REŻYSERIA ŚWIATEŁA andergrand media + spektakle

PROJEKCJE Lea Mattausch

OPERATORZY FILMU Artur Sienicki i Lea Mattausch

KURATOR PROJEKTU Ania Włodarska

INSPICJENT Hanna Gruszczyńska

WYSTĘPUJĄ

Karolina Adamczyk, Dominika Biernat, Małgorzata Witkowska,
Miroslaw Guzowski, Artur Krajewski, Roland Nowak

premiera 6 listopada 2010

FIODOR DOSTO- JEWski

† FIODOR DOSTOJEWski [ur. 11.11.1821 Moskwa, zm. 9.02.1881 Petersburg]

Pisarz rosyjski, w 1843 ukończył Wojskową Szkołę Inżynieryjną w Petersburgu, po roku opuścił wojsko i poświęcił się pracy literackiej. Pierwszy utwór – powieść *Biedni ludzie* wydał w roku 1846. W dalszej twórczości Dostojewski oddalił się od dominującego kierunku ówczesnej prozy rosyjskiej pogłębiając analizę psychologiczną postaci; dobro i zło natury ludzkiej, irracjonalizm psychiki, zagadnienia rozdwójenia wewnętrznego i marzycielstwa stanowią główny problem utworów: *Sobowtór* [1846], *Gospodyni* [1847], *Białe noce* [1848].

W 1849 roku Dostojewskiego aresztowano za udział w kółku pietraszewców i skazano na karę śmierci, następnie tuż przed egzekucją ułaskawiono, zmieniając wyrok na 4 lata katorgi i służbę wojskową. W roku 1859 powrócił do Petersburga, a przeżycia z tego okresu zawarł we *Wspomnieniach z domu umarłych* [1860–62]. Pisarzowi rozgłos przyniosła *Zbrodnia i kara* [1866], a chwilę później napisana podczas pobytu w Europie powieść *Idiota*.

W czasie, gdy powstawał *Idiota*, Dostojewski pisał w liście:

Chodzi mianowicie o przedstawienie absolutnie doskonałego człowieka.

Moim zdaniem nie może być nic trudniejszego, zwłaszcza w naszych czasach.

[...] Już dawniej idea ta pojawiała mi się w głowie jako pewien przeblysk obrazu artystycznego, nie chciałem jednak, aby stanowiła tylko część czegoś, potrzebowałem jej jako całości.

W latach 1871–1872 na łamach czasopisma *Ruskij Wiestnik* ukazały się *Biesy*.

W formie książkowej zostały wydane w 1873 roku. Dzieło to jest panoramą myśli rosyjskiej drugiej połowy XIX wieku i pamfletem na ruch rewolucyjny.

Jest to także powieść z kluczem, której bohaterowie mają swoje odpowiedniki w osobach współczesnych autorowi.

W latach 1873–1881 pisał *Dziennik pisarza*, zbiór wydawanych w różnych czasopismach krótkich opowiadań, szkiców krytyczno-literackich i artykułów na bieżące tematy.

W 1875 roku ukazała się powieść *Młodzik*, a w 1876 opowiadanie *Łagodna*.

Na krótko przed śmiercią, Dostojewski ukończył *Braci Karamazow* [1879–80].

Fiodor Dostojewski
Łagodna
Opowiadanie fantastyczne

przełożył Gabriel Karski

OD AUTORA

Co do samego opowiadania. Dałem mu podtytuł „fantastyczne”, chociaż uważam je za jak najbardziej realne. Ale fantastyczność jest w nim istotnie – a mianowicie w samej formie opowieści, co też chciałbym zawczasu wyjaśnić.

Chodzi o to, że nie jest to opowiadanie, ani nie są to notatki. Proszę sobie wyobrazić męża, którego żona leży na stole martwa: przed kilkoma godzinami popełniła samobójstwo, rzuciwszy się z okna. Jest wzburzony i jeszcze nie zdążył zebrać myśli. Chodzi po pokojach i usiłuje zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, „uporządkować swe myśli”. Dodajmy, że jest to zagorzały hipochondryk z gatunku tych, co sami z sobą rozmawiają. Oto właśnie mówi sam do siebie, referuje sprawę, wyjaśnia ją sobie. Mimo pozornej ciągłości tej relacji, niejednokrotnie przeczy sobie – zarówno logicznie jak uczuciowo. To usprawiedliwia siebie, to oskarża ją i wdaje się w uboczne rozważania: mamy tu i wulgarność myśli, i serca, i głębię uczucia.

Z wolna rzeczywiście wyjaśnia sobie sprawę i „porządkuje myśli”. Łańcuch wywołanych przezeń wspomnień nieodparcie przywodzi go wreszcie do prawdy; prawda nieodparcie uwzniośliła jego umysł i serce. Pod koniec zmienia się nawet sam ton opowieści – w porównaniu z chaotycznym jej początkiem. Prawda dość jasno i wyraźnie – przynajmniej dla niego samego – odsłania się przed nieszczęśliwym.

Oto temat. Ma się rozumieć, przebieg opowieści obejmuje kilka godzin – z zawieszeniami i przeskokami – i ma kształt nader

Teatr Polski Bydgoszcz dziękuje spadkobiercy twórczości Michała Gabriela Karskiego Pani Magdalenie Iljuczonek, za możliwość zamieszczenia opowiadania Fiodora Dostojewskiego *Łagodna* w tłumaczeniu Michała Gabriela Karskiego w programie do spektaklu.

zawikłany: bohater mówi sam do siebie, to znów zwraca się jak gdyby do niewidzialnego sędziego. Tak też zawsze bywa w rzeczywistości. Gdyby stenograf mógł go podsłuchać i wszystko zanotować – tekst wypadłby nieco bardziej chropowaty, surowy, aniżeli u mnie; ale, jak mi się wydaje, proces psychologiczny chyba pozostałby nie zmieniony.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I. KIM BYŁEM JA I KIM BYŁA ONA

...O, dopóki ona tu jest – wszystko jeszcze dobrze: podchodzę i coraz spoglądam; a wyniosą ją jutro – jakże ja tu zostanę sam? Teraz leży w saloniku, na stole, zestawiono dwa stoliki do kart, a trumna będzie jutro, biała, wybita białym atłasem, a zresztą ja nie o tym... Wciąż chodzę i chodzę, żeby to sobie wytłumaczyć. Oto już tak od sześciu godzin chodzę, usiłując sobie wytłumaczyć i wciąż nie mogę skupić myśli. Rzecz w tym, że chodzę, chodzę, chodzę... To było tak: po prostu opowieć wszystko po kolei. (Porządek!) Panowie, wcale nie jestem literatem, i wy to widzicie, ale niech tam, opowieć tak, jak sam rozumiem. Stąd właśnie całe moje przerażenie, że wszystko rozumiem!

Otóż, jeżeli chcecie wiedzieć, to znaczy, jeśli zacząć od samego początku – po prostu przychodziła do mnie zastawiać różne rzeczy, aby opłacać ogłoszenia w „Głosie”: że tak a tak, guwernantka gotowa na wyjazd i na przychodzenie na lekcje do domów itd., itd. To było na samym początku i ja naturalnie nie odróżniałem jej od innych: przychodzi tak jak wszyscy i tak dalej. A później to zacząłem ją odróżniać. Była taka szczuplutka, blondyneczka, średniego wzrostu, w mojej obecności zawsze jakaś niezręczna, jakby skrępowana (myślę, że taka sama była wobec każdego, a ja, ma się rozumieć, byłem dla niej taki sam, jak ten czy ów, to znaczy, jeżeli mówimy nie o właścicielu lombardu, lecz o człowieku). Gdy tylko otrzymywała pieniądze,

natychmiast w tył zwrot i znikła. I zawsze w milczeniu. Inni tak się sprzecają, molestują, targują się, żeby więcej dostać; ta – nie: ile dadzą... Mam wrażenie... wciąż się gubię... Aha, przede wszystkim zaciekały mnie jej rzeczy: srebrne pozłacane kolczyki, mizerny medalionik – przedmioty groszowej wartości. Sama to wiedziała, ale patrząc na nią widziałem, że to dla niej drogocенność – i rzeczywistość to było wszystko, co jej pozostało po tatusiu i mamusi – jak się później dowiedziałem. Raz tylko pozwoliłem sobie na docinek. Bo właściwie, widzicie, ja sobie na to nigdy nie pozwalałem, wobec klientów zachowuję się po dżentelmeńsku: mało słów, uprzejmie i surowo. „Surowo, surowo i surowo.”* Lecz oto ona ośmieliła się przynieść resztki (ale to dosłownie resztki) starego serdaka – no i nie wytrzymałem: powiedziałem coś niby w rodzaju dowcipu. Chryste Panie, jak się rozgniewała! Oczy ma niebieskie, duże, zamysłone, ale – jak się rozżarzyły! Jednak nie padło ani jedno słowo, zabrała swoje „resztki” i wyszła. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem ją specjalnie i pomyślałem o niej w podobny sposób, to znaczy właśnie w sposób specjalny. Tak: pamiętam jeszcze wrażenie, to jest, właściwie, główne wrażenie, ogólną syntezę: to mianowicie, że jest strasznie młoda, taka młodziutka, iż, rzekłoby się – czternastolatka. A miała wtedy już szesnaście lat bez trzech miesięcy. A zresztą nie to miałem na myśli, to wcale nie w tym zawierała się synteza. Nazajutrz przyszła znowu. Dowiedziałem się później, że była z tym serdakiem u Dobronrawowa i u Mozera, ale oni oprócz złota żadnych przedmiotów nie przyjmują, toteż nie chcieli z nią gadać. Ja natomiast przyjąłem kiedyś od niej kameę (takie ot, świństewko) i – zastanowiwszy się później – zdumiałem się: ja także prócz złota i srebra nic nie przyjmuję, a od niej przyjąłem tę kameę. Taka była wtedy moja druga o niej myśl, to pamiętam.

* „Surowo, surowo i surowo” – niedokładny cytat z *Piaszcza* M. Gogola, są to słowa „znaczej osobistości” – dygnitarza, który tak określa sposób postępowania z podległymi mu urzędnikami: „Surowość, surowość i surowość”

Tamtym razem, to znaczy po wizycie u Mozera, przyniosła bursz-
tynową cygarniczkę: gracik taki sobie, amatorski, ale dla nas znów
bez wartości, bo my – tylko złoto. Ponieważ zjawiła się po wczoraj-
szym buncie, przyjąłem ją surowo. Surowość u mnie – to oschłość.
Niemniej jednak wręczając jej dwa ruble, nie zdołałem się powstrzy-
mać i powiedziałem z niejakim rozdrażnieniem: „robię to wyłącznie
dla pani, a Mozer takiej rzeczy od pani nie przyjmie”. Słowa dla pani
wypowiedziałem ze szczególnym naciskiem i właśnie w pewnym
sensie. Zły byłem. Ona znowu zaczerwieniła się usłyszawszy owo
dla pani, jednakże zachowała milczenie, nie odsunęła pieniędzy,
przyjęła – ot, co znaczy bieda! A jaka była wzburzona! Zrozumiałem,
żem ją zranił. A po jej wyjściu nagle się zastanowiłem: czy istotnie
taki triumf wart jest dwa ruble? Cha-cha-cha! Pamiętam, żem sobie
to pytanie zadał dwukrotnie: czy to warte? Czy warte? I śmiejąc się
odpowiedziałem sobie na nie twierdząco. Ogromnie mnie to wtedy
rozbawiło. Ale nie było to brzydkie uczucie: powiedziałem tamto
rozmyślnie, celowo; chciałem ją poddać próbie, ponieważ raptem
zaświtały mi w głowie pewne pomysły dotyczące jej osoby. To była
moja trzecia specjalna myśl o niej. No i od tego czasu wszystko się
zaczęło. Ma się rozumieć, zaraz postarałem się okólną drogą zbadać
wszelkie okoliczności i oczekiwałem jej przyjścia ze szczególną nie-
cierpliwością. Przeczynałem bowiem, że się rychło zjawi. Kiedy przy-
szła, wszcząłem – z nadzwyczajną galanterią – uprzejmą rozmowę. O
Jestem przecie niezgorzej wychowany i znam się na formach. Hm...
No i wtedy wyczułem, że jest dobra i łagodna. Osoby dobre i łagodne
nie opierają się długo i choć same do wynętrzania się nie są bynaj-
mniej skore, jednakże od rozmowy wykręcić się żadnym sposobem
nie potrafią i odpowiadają skąpo, ale odpowiadają, a im dalej, tym
obficiej, trzeba tylko samemu nie ustawać, skoro nam zależy. Ma się
rozumieć, ona mi wtedy sama nic nie wyjaśniła. Później dopiero
dowiedziałem się o „Głosie” i o wszystkim. Ona się wtedy rujnowała
na ogłoszenia; z początku, ma się wiedzieć, wyniosła: „guwernantka,

panie dobrodzieju, zgodzi się na wyjazd i oferty proszę nadsyłać
z podaniem warunków”, a później – „gotowa na wszystko: i do towa-
rzystwa, i uczyć może, i doglądać gospodarstwa, i pielęgnować
chorą osobę, i szyć umiem” itd. itd. – to wszystko tak dobrze znamy!
Naturalnie występowało to w ogłoszeniu w rozmaitych wariantach,
a pod koniec, gdy jej położenie stało się rozpaczliwe, to nawet
„bez pensji, za wyżywienie”. Otóż nie, nie znalazła posady! Wtedy
postanowiłem po raz ostatni ją wybadać: raptem biorę świeży numer
„Głosu” i wskazuję ogłoszenia: „Młoda osoba, zupełna sierota, poszu-
kuje posady guwernantki do małych dzieci, najchętniej u starszego
wdowca. Może dopomóc w prowadzeniu domu.”

– Ot, proszę, ta dziś rano dała ogłoszenie, na wieczór z pewnością
posadę otrzyma. Oto jak trzeba się ogłaszać!

Znów się wzburzyła, znowu błysnęła oczyma, odwróciła się
i natychmiast wyszła. Bardzo mi się to spodobało. Zresztą byłem
wtedy całkiem pewny i nie obawiałem się: cygarniczek nikt
nie zacznie przyjmować. A ona zresztą nie miała już nawet cygarni-
czek. I rzeczywiście, po dwóch dniach przychodzi – taka bledziutka,
zdenewrowana; zrozumiałem, że coś się musiało wydarzyć u niej
w domu; i faktycznie, wydarzyło się. Zaraz wyjaśnię, co się wydarzyło,
ale na razie pragnę tylko wspomnieć, jak jej wówczas zaimponowa-
łem i urosłem w jej oczach. Taki nagle powziąłem zamiar. Chodzi
o to, że przyniosła ten obraz (zdecydowała się przynieść)... Ach słu-
chajcie, słuchajcie! To właśnie wtedy już się zaczęło, bo ja się wciąż
plątałem... Chodzi o to, że teraz chcę wszystko odtworzyć, każdy taki
drobiazg, każdą kreseczkę. Wciąż usiłuję skupić myśli i – nie mogę,
a to właśnie owe kreseczki, kreseczki...

Obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, domowy, rodzinny staro-
świecki, ornat srebrny pozłacany – warte to, no warte ze sześć rubli.
Widzę, że przedmiot jest jej drogi; zastawia całość, nie zdejmując
koszulki z obrazu. Powiadam jej: lepiej zdjąć, a obraz niech pani
zabierze; bo sam obraz jednak jakoś nie bardzo...

Och, pamiętam, wszystkie te momenty pamiętam! I zauważę jeszcze, że kiedy ta młodzież, ta miła młodzież pragnie powiedzieć coś takiego mądrego i ważkiego – to raptem zbyt szczerze i naiwnie na twarzy będzie miała wypisane, że oto, panie dobrodziej, „mówię ci teraz coś mądrego i ważkiego” – i to nie z próżności, jak to bywa u nas, ale wręcz widać, że sama strasznie w to wszystko wierzy i ceni to, i szanuje, i myśli, że wy to wszystko tak samo szanujecie. Ach, szczerokość! Oto czym nas zwyciężają! A w niej – jakież to było urocze!

Pamiętam, niczego nie zapomniałem! Po jej wyjściu od razu zacydowałem. Tegoż dnia przeprowadziłem ostatnie poszukiwania i poznałem wszystkie – już bieżące – tajniki; dawne znałem w całości dzięki Łukierii, która podówczas u nich służyła i którą kilka dni temu przekupiłem. Owe kulisy rzeczywistości były tak przerażające, że nie pojmuję, jak można było jeszcze się śmiać – tak jak niedawno ona – i interesować się słowami Mefista, gdy sama była w tak okropnym położeniu. Ale – ot, młodzież! Tak właśnie pomyślałem o niej z dumą i radością, albowiem w tym jest i wielkoduszność: oto proszę, chociaż znajdujemy się na skraju zagłady, wielkie słowa Goethego promienięją. Młodość zawsze – chociażby odrobinę i choćby w błędnym kierunku – przecie jest wielkoduszna. To znaczy – ja wszak o niej, o niej jednej. I przede wszystkim wtedy już patrzyłem na nią jak na moją i nie wątpiłem o swej potędze. Wicie, przesłodka to myśl, kiedy nie mamy już wątpliwości!

Ale co się ze mną dzieje? Jeżeli będę dalej w ten sposób, kiedy zbiorę to wszystko razem? Prędkiej, prędkiej – to wcale nie w tym rzecz, och Boże!

II. PROPOZYCJA MAŁŻEŃSTWA

Owe „kulisy”, to, czego się o niej dowiedziałem, wyrażę w jednym zdaniu: rodzice ją odumarli już dawno, przed trzema laty, ona zaś zamieszkała u niesamowitych ciotek. Określenie to jest zbyt

słabe. Jedna ciotka – wdowa, obarczona liczną rodziną, dzieci sześć sztuk, jedno mniejsze od drugiego; druga – niezamężna, stara, wstrętna. Obydwie wstrętne. (...) Bo i po cóż chciałem się żenić? A zresztą – do diabła ze mną, o tym później... I czyż o to idzie? Uczyla cioteczne dzieci, szyła bieliznę, a pod koniec nie tylko bieliznę, i – z tymi jej słabymi płucami – podłogi szorowała. Tamte ustawnie ją maltretowały i nawet biły. Doszło do tego, że zamierzały ją sprzedać! Tfu! Pominę plugawe szczegóły. Później opowiedziała mi wszystko dokładnie. Wszystko to przez cały rok obserwował sąsiad, opasły sklepikarz, ale nie taki zwyczajny sklepikarz, lecz właściciel dwóch składów kolonialnych. Miał już na rozkładzie dwie żony i szukał trzeciej – no i wypatrzył sobie: „spokojniutka, panie dobrodziej, wyrosła w biedzie, a ja ożenię się ze względu na sieroty.” Rzeczywiście miał małe dzieci. Więc – w konkury, jął zwmawiać się z ciotkami; a chłop miał pięćdziesiąt lat; ona jest przerażona. Wówczas to zaczęła często zachodzić do mnie – w związku z owymi ogłoszeniami w „Głosie”. Wreszcie uprosiła ciotki, aby pozostawiły jej do namysłu choć odrobinę czasu. Dały jej tę odrobinę, ale tylko jedną, drugiej już nie; warknęły: „Same, nawet bez zbędnej gęby, nie mamy co żreć.” A wieczorem przyjechał kupiec; przywiózł ze sklepu funt cukierków po pół rubla; ona siedzi obok niego; wywołuję tedy z kuchni Łukierię i wysyłam, żeby jej szepnęła, że stoję przy bramie i chcę z nią pomówić w bardzo pilnej sprawie. Byłem zadowolony z siebie. I w ogóle przez cały ten dzień byłem ogromnie rad.

No i kiedy się ukazała, zdumiona już samym faktem, że ją wezwał, zaraz tam w bramie, w obecności Łukierii, oświadczeni jej, że będę sobie poczytywał za szczęście i zaszczyt... Po drugie: niechaj się nie dziwi, że w takim trybie i że w bramie: „Jestem człowiekiem, że tak powiem, prostolinijnym i rozważyłem wszelkie okoliczności.” I to nie było kłamstwo, że prostolinijny. No, mniejsza... Mówiłem zaś nie tylko grzecznie, to znaczy wykazawszy się jako człowiek dobrze wychowany, ale i oryginalnie, a to najważniejsze.

Cóż, czy grzech to stwierdzić? Ja chcę siebie osądzić i czynię to. Powinienem mówić pro i contra, no i mówię. Później nawet z lubością do wspominałem, chociaż to głupie: oświadczyłem jej wtedy po prostu, bez najmniejszego zmieszania, że po pierwsze: nie jestem szczególnie uzdolniony, szczególnie mądry, może nawet niezbyt dobry, dość tani egoista (pamiętam to wyrażenie, ułożyłem je sobie wtedy po drodze i byłem z niego zadowolony), oraz że może i pod innymi względami jest we mnie dużo, dużo niemiłego. Wszystko to zostało wypowiedziane z jakąś swoistą godnością – wiadomo, jak się takie rzeczy mówi. Oczywiście miałem na tyle dobrego smaku, że uczciwie wymieniwszy swoje braki, nie zabrałem się do wylizania: „ale, panie dobrodziejku, w zamian posiadałam to i tamto, i owo”. Widziałem, że ona na razie okrutnie się boi, ale ani trochę swej wypowiedzi nie złagodziłem; nie dość tego, widząc, że się boi, rozmyślnie wzmocniłem: powiedziałem wręcz, że będzie syta, co zaś się tyczy strojów, teatrów, balów – tego nie będzie, chyba dopiero w przyszłości, kiedy osiągnę swój cel. Ten surowy ton prawdziwie mnie upajał. Dodałem – również najswobodniej, niby mimochodem – że jeżeli param się takim zajęciem, to jest, prowadzę tę kasę – to mam w tym jeden tylko cel, jest, że tak powiem, pewna okoliczność... Ale przecież miałem prawo tak mówić: rzeczywiście taki cel miałem i taką okoliczność... Za pozwoleniem, panowie, ja przez całe życie pierwszy nienawidziłem tej kasy pożyczkowej, ale w istocie, chociaż to śmieszne przemawiać do samego siebie tajemniczymi frazesami, przecież właśnie „mściłem się na społeczności”, naprawdę, naprawdę, naprawdę! Tak, iż jej docinek na temat tej mojej „zemsty” był niesprawiedliwy. To jest, uważacie, gdybym był rzucił jej wprost słowa: „Tak, ja się mszczę na społeczności”, roześmiałyby się – jak to uczyniła rankiem – i wypadłoby rzeczywiście pocieszenie. Ale kiedy ot tak, ubocznym napomknieniem wtrąciłem tajemnicze zdanie, okazało się, że można wyobrazić zaintrygować. A poza tym ja się wtedy niczego już nie obawiałem: wszak wiedziałem, że gruby sklepikarz

w każdym razie jest jej bardziej wstrętny ode mnie i że oto ja, stojąc przed bramą, okazuję się wyzwolicielem. Przecież ja to wszystko pojmwiałem. Jeżeli idzie o podłość – człek orientuje się doskonale! Ale czy to podłość? Jakże tu człowieka sądzić? Alboż ja jej już nawet wtedy nie kochałem?

Chwileczkę: ma się rozumieć, nie napomknąłem jej ani słowem o dobrodziejstwie; przeciwnie, wręcz przeciwnie: „To dla mnie, że tak powiem, a nie dla pani dobrodziejstwo.” Tak, iż nawet wyraziłem to słowami i może wypadło głupawo, zauważyłem bowiem przelotny grymas na jej twarzy. Ale w ogólnym rozrachunku bezsprzecznie wygrałem. Czekałcie, skoro już mam wywlekać „całe to błoto, przypomnę i ostatnie świństwo: stałem, a w głowie mi się kotłowało: jesteście wysoki, zgrabny, edukowany i – i ostatecznie, mówiąc bez fanfaronady – niebrzydki z ciebie mężczyzna. Oto co mi tańczyło w łepetynie. Oczywiście ona tamże w bramie powiedziała tak. Ale... Ale muszę dodać: tamże w bramie długo myślała, zanim powiedziała tak. Tak się zamyśliła, tak zamyśliła, że po chwili spytała:

– No i jakże, co? – i nawet nie zdzierżyłem; z pewnym zacięciem zapytałem: – No i jakże, i cóż, szanowna pani?

– Proszę zaczekać, myślę.

I taką poważną miała twarzyczkę, taką – że już wówczas byłbym mógł wyczytać, co myśli! A ja się czułem obrażony: „czyżby wybie-rała między mną a kupcem?” Och, wtedy jeszcze nie rozumiałem! Nie, jeszcze wtedy nie rozumiałem! Do dziś dnia nie rozumiałem. Pamiętam, Łukieria wybiegła za mną, kiedy już odchodził, zatrzymała mnie w drodze i z gorączkowym podnieceniem powiedziała: „Bóg panu zapłaci za to, że pan bierze naszą kochaną panienkę; tylko proszę jej tego nie mówić: ona jest ambitna.”

Ha, jest ambitna! Ja, panie dobrodziejku, sam lubię ambitne osobki. Ludzie ambitni są przemili, kiedy... ano kiedy nie mamy już wątpliwości co do naszej nad nimi władzy, prawda? Och ty prostaku, niedźwiedziu! Ach, jaki byłem zadowolony! Wicie... przecież w niej,

kiedy tak stała przed bramą, zamyśliwszy się, by mi powiedzieć tak, a ja zdziwiony czekałem, czy wiecie, że w niej mogła być się zrodzić nawet taka myśl: „Skoro już nieszczęście i tam, i tu, czy nie lepiej wybrać od razu najgorsze, to jest tłustego sklepikarza; niechże co rychlej zatłucze, gdy się spije na umór!” Co? Jak sądzicie: mogła to pomyśleć? Ot, przed chwilą powiedziałem, że mogła tak pomyśleć: iż z dwojga złego lepiej wybrać gorsze, czyli kupca. A kto był w jej oczach tym gorszym: ja czy tamten? Kupiec czy zastawnik cytujący Goethego? To jeszcze pytanie! Jakież tu pytanie? Jeszcze tego nie rozumiesz? Odpowiedź leży tu na stole, a ty powiadasz: pytanie! Ech, do diabła ze mną! Nie o mnie wcale chodzi... Ale właśnie, co mi teraz za różnica czy o mnie, czy nie o mnie chodzi? Tego już zgola nie potrafisz rozstrzygnąć. Trzeba by pójść spać. Głowa boli...

III. NAJSZLACHETNIEJSZY Z LUDZI, ALE SAM W TO NIE WIERZE

Nie zasnąłem. Bo i jak tu spać, coś tętni w głowie. Chciałoby się ogarnąć to wszystko, całe to błoto. Och, błoto! Och, z jakiego błota wówczas ją wyciągnąłem! Chyba powinna była to wszystko zrozumieć, ocenić mój postępki! Przyjemne były mi też różne myśli, na przykład: że ja mam czterdzieści jeden lat, a ona szesnaście. To mnie ujmowało, owo poczucie nierówności – bardzo to miłe, bardzo miłe.

(...) Najważniejsze to to, że – jakkolwiek hamując się – bądź co bądź łgnęła do mnie z miłością, z zachwytem witała moje wieczorne przyjazdy, opowiadała mi tym swoim dziecinny stylem – ach, to czarujące niewinne gaworzenie! – o całym swym dzieciństwie i rodzicielskim domu, o ojcu i matce. Lecz ja wszystek ten urok z miejsca oblałem zimną wodą. Na tym właśnie polegała moja postawa. Na zachwyty odpowiadałem milczeniem – ma się rozumieć, łaskawym... lecz ona przecie rychło stwierdziła, żeśmy różni, że ja – to zagadka. A sedno w tym, że ja właśnie na to biłem! Wszak po to, by zadać zagadkę, może popełniłem całą tę niedorzeczność!

Przede wszystkim: surowość – pod tym też znakiem wprowadziłem ją do swego domu... Jednym słowem wtedy, aczkolwiek byłem rad, wypunktowałem cały system. Och, sam się ten system bez żadnego natężenia ukształtował... Ale bo też nie sposób było inaczej: musiałem stworzyć cały ten system pod naporem niezłomnych okoliczności... Czemuż miałbym sam siebie oczerniać? System był słuszny. Nie, posłuchajcie, jeżeli już kogoś sądzić – to trzeba znać sprawę... Słuchajcie!

Jak by tu zacząć? Bo to bardzo trudne. Kiedy zaczniemy się usprawiedliwiać – w tym właśnie trudność. Bo, uważacie: młodzież gardzi na przykład pieniądzem; no to ja natychmiast z naciskiem o pieniądzach – i to z takim, że ona coraz bardziej milkła. Rozwierała szeroko oczy, słuchała, patrzyła i milkła. Młodzież, uważacie, jest wielkoduszna i wybuchowa, ale jest niezbyt tolerancyjna, skłonna niemal wręcz do pogardy. Ja zaś domagałem się liberalizmu, chciałem ten liberalizm wszczerzyć jej wprost do serca, wszczerzyć w odruchy serca, czyliż nie tak? Weźmy potoczny przykład: jak miałem, powiedzmy, takiej osobie przedstawić sprawę prywatnego lombardu? Ma się rozumieć, nie zacząłem bezpośrednio o tym, gdyż wypadłoby, że proszę o wybaczenie za tę kasę, ale operowałem, że tak powiem, dumą, mówiłem nieomal milcząc. A w tym to ja jestem mistrzem, całe życie przegadałem w milczeniu i milcząc sam z sobą przeżyłem całą tragedię. Ach, przecież i ja byłem nieszczęśliwy! Przez wszystkich odsunięty, wyrzucony i zapomniany – a nikt o tym nie wie! A tu raptem ta szesnastolatka nałapała od ludzi, od ludzi nikczemnych, różnych o mnie szczegółów i wydać się jej, że wie wszystko, gdy właśnie to, co najcenniejsze, tkwiło jedynie we wnętrzu tego człowieka! Ja milczałem wciąż i zwłaszcza, zwłaszcza przed nią milczałem – aż do wczorajszego dnia; dlaczego milczałem? Ano – jako człowiek dumny. Chciałem, by się dowiedziała sama, beze mnie – tylko już nie z plotek plugawców, lecz żeby sama się domyśliła, co to za człowiek, i zrozumiała go! Wprowadzając

ją do swego domu, wymagałem całkowitego szacunku. Chciałem, by stała przede mną w błagalnej pozie – za moje cierpienia – i zasługiwalem na to! O, ja zawsze byłem dumny, zawsze chciałem mieć wszystko albo nic! Toteż właśnie dlatego, że nie chcę połowicznego szczęścia, lecz żem wszystkiego pragnął – właśnie dlatego musiałem wtedy tak postąpić: „ano, sama się domyśl i oceni”. Albowiem, zgódźcie się, gdybym sam zaczął jej objaśniać i podpowiadać, wpływać na nią, domagać się respektu – toć wyglądałoby to całkiem tak, jak gdybym prosił o jałmużnę... A zresztą... a zresztą po co o tym wszystkim mówię?!

Głupio, głupio, głupio! Wyraźnie i bezlitośnie (a podkreślam : bezlitośnie) wytłumaczyłem jej wtedy w dwóch słowach, że wielkoduszość młodych to śliczna rzecz, tylko że nie jest warta dwóch groszy. Dlaczego? Ponieważ tanio to im przychodzi, doszli do tego wszystkiego nic nie przeżywszy; to są, że tak powiem, „pierwsze doznania życia” * , ale zobaczymy was przy robocie! O tanią wielkoduszość zawsze łatwo, nawet życie poświęcić – to także łatwe, bo tu tylko krew kipi i nadmiar sił, okrutnie pragnie się piękna! Otóż nie, weźmy wielkoduszny czyn niełatwy, cichy, bez rozgłosu, bez blasku, ocierający się o potwarz, taki, gdzie dużo ofiarności, a mało sławy, kiedy porządnego człowieka wszyscy mają za lotra, chociaż jest najuczciwszy w świecie – ano spróbujcie spełnić taki czyn; nie, zrezygnujcie! A ja – przez całe życie nosiłem go w piersi. Ona zrazu oponowała – i to jak! – ale później zaczęła pomilkiwać, aż zupełnie ucichła, oczy tylko otwierała słuchając – takie wielkie, wielkie oczy, tak uważne. I... i potem... nagle spostrzegłem jej uśmiech – niedowierzający, głuchy, niedobry. I oto tak właśnie uśmiechniętą wprowadziłem ją do swojego domu. I to też prawda, że nie miała już dokąd pójść...

* „Pierwsze doznania życia” – nieznacznie zmieniona fraza z wiersza A. Puszkina *Demon*, w przekładzie M. Jastruna brzmi on: Gdy jeszcze świeży i uroczy / Był dla mnie każdy objaw bytu

IV. PLANY, PLANY...

Kto z nas dwojga zaczął wtedy?

Nikt. Samo się zaczęło – od pierwszego momentu. Powiedziałem, żem ją wprowadził do swego domu z surową powagą; jednakże zaraz po pierwszym kroku złagodziłem tę postawę. Jeszcze jako narzeczona pouczyłem ją, że zajmie się przyjmowaniem zastawów i wypłatą pieniędzy, a ona przecie wtedy nic nie powiedziała (proszę to zauważyć). Nie dość tego: zabrała się do pracy nawet gorliwie. Mieszkanie, meble – to wszystko, oczywiście, zostało po dawnemu. Mieszkanie składa się z dwóch izb: jeden obszerny pokój z odgradzoną kasą, a drugi, także duży – nasz pokój wspólny i zarazem sypialnia. Umeblowanie u mnie skąpe, nawet ciotki mają lepsze. Szafka z lampką mieści się w sali, tam gdzie kasa, w moim zaś pokoju stoi szafa zawierająca trochę książek oraz kuferek; klucze noszę przy sobie; no i łóżko, stoły, krzesła. Jeszcze jako narzeczony zapowiedziałem jej, że na nasze utrzymanie – czyli na żywność dla mnie, dla niej i dla Łukierii, którą udało mi się przeciągnąć na swoją stronę – przeznaczam rubla dziennie, nie więcej. „Muszę, uważasz, zebrać w ciągu trzech lat trzydzieści tysięcy, a inaczej się pieniędzy nie uzbiera.” Nie protestowała; ale sam podwyższyłem przewidzianą kwotę o trzydzieści kopiejek. Powiedziałem narzeczony, że teatru nie będzie, a jednak zdecydowałem, że raz w miesiącu będziemy chodzić do teatru – i to elegancko: do krzeseł. Byliśmy razem na trzech przedstawieniach: *Pogoń za szczęściem*, *Śpiwające ptaki* * i, zdaje się... (Och do diabła z tym, do diabła!). Chodziliśmy tam w milczeniu i w milczeniu wracaliśmy. Czemu, czemuż to od samego początku milczeliśmy? Toć na początku nie było

* *Pogoń za szczęściem* – sztuka P. I. Jurkiewicza (pseudonim P. Gotubin) wystawiona była w Petersburgu w 1876 r a więc w tym właśnie czasie, gdy Dostojewski pisał *Lagodną. Śpiwające ptaki* – operetka J. Offenbacha szła na scenie Teatru Aleksandryjskiego w Petersburgu również jesienią 1876 r.

klótni – a milczenie też panowało. Ona stale, pamiętam, jakoś ukosem patrzyła na mnie, a znów ja, kiedy to spostrzegłem, wzmożłem milczenie. To prawda, że to ja je pogłębiłem, a nie ona. Z jej strony raz czy dwa zdarzyły się jakieś porywy, rzuciła mi się w objęcia; ale ponieważ te porywy były chorobliwe, histeryczne, a ja potrzebowałem szczęścia solidnego, zaprawionego jej szacunkiem – zareagowałem oziębło. No i miałem słuszną: za każdym razem po porywach wybuchala klótnia.

To jest, klótni właściwie nie było, ale następowało milczenie i z jej strony coraz bardziej zuchwała postawa. „Bunt i niezależność” – oto jak to wyglądało, do tego tylko była zdolna. Tak, ta łagodna twarz stawała się coraz bardziej zuchwała. Czy uwierzycie: ja się dla niej stawałem obmierzły – o tym się dobrze przekonałem. Ale co do tego, że w tych swoich porywach traciła panowanie nad sobą – co do tego nie było wątpliwości. No, bo jakże to, na przykład, wydostawszy się z takiego upodlenia i nędzy, po owym szorowaniu podłóg, zacząć raptem dąsać się z powodu naszego ubóstwa?! Zechciejcie, proszę, zauważyć: nie żyliśmy ubogo, tylko oszczędnie, a tam, gdzie potrzeba, nawet luksusowo; ot, na przykład, jeżeli idzie o bieliznę – czyściutko. Ja zawsze, dawniej także, upajałem się myślą, że schludność męzowska pociąga żonę. Zresztą ona miała mi za złe nie ubóstwo, ale to sknerstwo w gospodarce: „Zmierz do jakiegoś celu, wykazuje niezłomność charakteru.” Z bywania w teatrze sama zrezygnowała. I ten jej grymas coraz bardziej ironiczny... a ja coraz bardziej zacinam się w milczeniu.

Alboż mam się usprawiedliwiać? Tu najważniejszą sprawą była owa kasa pożyczkowa. Za pozwoleniem: wiedziałem, że kobieta, w dodatku szesnastoletnia, nie może nie ulegać całkowicie mężczyźnie. Kobietom brak oryginalności, to... to jest aksjomat, nawet i dziś, nawet teraz, to jest dla mnie aksjomat! Cóż znaczy to, co tam leży

w sali? Fakt jest faktem, i tutaj sam Mili * nic nie poradzi! A kobieta kochająca, ach, kochająca kobieta nawet usterki, nawet niegodziwości ukochanego człowieka wybaczy. On sam nie wynajdzie dla swych wykroczeń takich usprawiedliwień, jakie mu ona podsunie. To jest wielkoduszne, ale nie oryginalne. I cóż, powtarzam, wskazujecie mi tam na stole? Alboż to, co tam leży, jest oryginalne? Ech!

Posłuchajcie: byłem w owym czasie pewny jej miłości. Wszak i wtedy rzucała mi się na szyję. A zatem kochała albo raczej pragnęła, usiłowała kochać. A najważniejsze to to, że tam nawet żadnych takich paskudstw nie było, żeby miała dla nich wyszukiwać usprawiedliwienia. Powiadacie – i wszyscy powiadają – lichwiarz. No i cóż z tego, że lichwiarz? Widocznie musza być jakieś przyczyny, skoro najszlachetniejszy z ludzi został lichwiarzem. Uważacie, panowie, są pewne idee, to znaczy, widzicie, niekiedy, jeżeli pewne idee wyrazimy słowami – to wypadnie okropnie głupio. Sam się człek zawstydzę. A dlaczego? Dla niczego. Dlatego, żeśmy wszyscy dranie i nie znosimy prawdy, albo nic już nie wiem. Powiedziałem przed chwilą: „najszlachetniejszy z ludzi.” Śmieszne to, a jednak tak przecież było. Oto prawda, to najrzetelniejsza prawda! Tak, miałem prawo pomyśleć o zabezpieczeniu się – no i założyłem tę kasę: „Wyście mnie odepchnęli, wy, czyli ludzie, wygnaliście mnie precz z milczącą pogardą. Na mój gorący ku wam poryw odpowiedzieliście mi całościową krzywdą. Toteż miałem prawo odgrodzić się od was, uciuć owe trzydzieści tysięcy rubli i dokonać żywota gdzieś na Krymie, na wybrzeżu południowym, wśród gór i winnic, we własnej posiadłości, nabytej za te trzydzieści tysięcy, a – co najważniejsze – z dala od was wszystkich, lecz bez złości na was, z ideałem w duszy, z ukochaną kobietą przy boku, z rodziną, jeśli Pan Bóg pobłogosławi i – wspomagając okolicznych osadników.” Całe szczęście, rzecz prosta, że to ja teraz sam do siebie mówię, cóż bowiem mogłoby być bzdurniejszego, gdybym był jej to wtedy na głos wybębnił? Oto skąd – owo dumne milczenie, oto czemuśmy siedzieli bez słowa. No bo cóż by ona

* John Stuart Mili (1806–1873) – angielski filozof-logik i ekonomista!

z tego rozumiała? Szesnaście latek, pierwsza to ci młodość – i co też ona mogła pojąć z tych moich usprawiedliwień, z tych przejęć? Tam – prostolinijność, nieznajomość życia, młodzieńcze taniutki przekonania, kurza ślepotą „wzniosłych serc”, a tu – przede wszystkim – kasa pożyczkowa i kropka (a czyż ja w tej kasie pożyczkowej byłem lotrzykiem? Alboż nie widziała, jak postępuję i czy skrzywdziłem kogo?). Och, jakże okropna jest prawda na tym świecie! To cudo łagodności, ta niebianka – okazała się tyranem, nieubłagany tyranem i dręczycielem mojej duszy! Przecież oszkaluję siebie, jeżeli tego nie powiem. Myślicie, żem jej nie kochał? Kto może powiedzieć, że jej nie kochałem? Otóż widzicie: w tym właśnie ironia, tu wystąpiła gorzka ironia losu i natury! Jesteśmy przekłeci, życie ludzkie jest w ogóle przekłete (moje w szczególności!). Tu wypadło coś nie tak... Wszystko było jasne, plan mój był jasny jak niebo! „Surowy, dumny i niczyich perswazji nie potrzebuje, cierpi w milczeniu.” Tak też było, nie kłamałem! „Sama później zobaczy, że w tym była wielkoduszność, tylko że nie potrafiła tego dostrzec – a kiedy się tego domyśli, oceni dziesięciokrotnie i padnie przede mną upokorzona, że złożonymi błagalnie dłońmi.” Lecz tutaj o czymś zapomniałem, czy też coś przeoczyłem. Czegoś tam nie potrafiłem zrobić. Ale dosyć, dosyć. I kogo teraz prosić o przebaczenie? Koniec – to koniec. Śmielej, człowiecze, i bądź dumny. Nie ty zawiniłeś!...

Ha, cóż, powiem prawdę, nie złękę się spojrzeć prawdzie w oczy: to ona, ona zawiniła!

V. „ŁAGODNA” SIĘ BUNTUJE

Sprzeczki zaczęły się od tego, że jej się raptem zachciało wypłacać pieniądze według własnego uznania, taksować przedmioty powyżej ich wartości i nawet raz czy dwa razy wszczęła ze mną dyskusję na ten temat. Nie dopuściłem do tego.

(...) tegoż dnia rozmówiłem się z nią krótko, ale – surowo i stanowczo. Siedziała na łóżku utkwivszy wzrok w podłodze i szurając po dywaniku czubkiem prawego pantofla (zwykły jej gest); na jej ustach trwał złośliwy uśmiezek. Wtedy, nie podnosząc oczu, spokojnie zaznaczyłem, że pieniądze są moje i że mam prawo patrzeć na życie moimi oczyma, i że kiedy ją zaprasza do swego domu, niczego przed nią nie zataiłem.

Zerwała się raptownie, zatrzęsła się cała i – proszę sobie wyobrazić – nagle zatupała nogami; to było zwierzę, to był atak szału, to było szalejące zwierzę. Zdrętwiałem ze zdumienia; takiego wysokości nie spodziewałem się. Ale nie straciłem panowania nad sobą, nawet się nie poruszyłem i tym samym spokojnym tonem oznajmiłem jej, że odtąd pozbawiam ją uczestniczenia w moich zajęciach. Roześmiała mi się prosto w twarz i wyszła z mieszkania.

Muszę podkreślić, że wychodzić nie było jej wolno. Nigdzie beze mnie – taki był nasz układ zawarty jeszcze w okresie narzeczeństwa. Wróciła dopiero wieczorem, ja na to ani słowa.

Nazajutrz rankiem wyszła znowu, następnego dnia również. Zamknąłem kantor i wybrałem się do ciotek. Nie utrzymywaliśmy z nimi żadnych stosunków od czasu wesela. Okazało się, że nie przychodziła do nich. Wysłuchały mnie z zaciekawieniem, no i wyśmiały: „To się panu – powiadają – należy.” Ale byłem przygotowany na ich kpinki. Z miejsca też tę młodszą, niezamężną, przekupiłem za sto rubli; dwadzieścia pięć dałem jako zaliczkę. Po dwóch dniach przychodzi do mnie: „Tam, powiada, oficer Jefimowicz, dawny pana kolega pułkowy, jest zamieszany.” Bardzo mnie to zdziwiło. Ów Jefimowicz właśnie największą przykrość wyrządził mi był w pułku, a jakiś miesiąc temu, bezczelny! – jako rzekomy interesant – raz czy dwa razy zaszedł do kasy i, pamiętam, zaczął z moją żoną o czymś żartobliwie rozmawiać. Wtedy podszedłem do niego i powiedziałem – pomny naszych stosunków – żeby się nie ważył tu przychodzić; ale nic takiego nawet przez myśl mi nie przeszło, tylko

tak po prostu stwierdziłem w duchu, że jest beczelny. A tu raptem ciotka informuje, że jest już wyznaczone spotkanie i że całą sprawą manewruje pewna dawna znajoma ciotek, Julia Samsonowna, wdowa, a do tego jeszcze pułkownika: „U niej to właśnie bywa teraz pana małżonka.”

Tę rzecz przedstawię w skrócie. Cała sprawa kosztowała mnie około trzystu rubli, ale po dwóch dniach wszystko zostało urzędzone tak, że będę stał w sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, przysłuchując się pierwszej schadzce mojej żony z Jefimowiczem. Tymczasem zaś w przeddzień owego rendez-vous rozegrała się między nami krótka, lecz dla mnie aż nazbyt znamienita scena.

Żona wróciła pod wieczór, siadła na łóżku, spogląda na mnie drwiąco i nóżką stuka o dywanik. Gdy tak na nią patrzę, nagle pomyślałem, że w ciągu całego ostatniego miesiąca albo ściślej od dwóch tygodni była nieswoja, rzecz by nawet można – całkowicie odmieniona: okazywała się istotą porywczą, napastliwą, nie powiedziałbym – bezwstydną, ale niezrównoważoną i zmierzającą do zamętu. Napraszając się o zamęt. Łagodność jednak była jej w tym przeszkodą. Kiedy taka osoba rozhuła się – to chociażby nawet przebrała miarę, przecież widać, że sarna się tylko przełamuje, sama się podnieca i że nie jest zdolna przezwyciężyć własnej dziewiczości i skromności. Dlatego to takie właśnie niekiedy rozpędzają się zgoła ponad miarę – tak iż nie wierzymy obserwacjom własnego rozumu. Istota zaś przywykła do rozpusty – przeciwnie: zawsze nałoży tłumik, postąpi szpetnie, ale w ramach porządku i przystojności, z pretensją górowania nad nami.

– A czy to prawda, że wygnano cię z pułku za to, żeś stchórzył odmówiwszy pojedynku? – spytała nagle ni w pięć ni w dziewięć, błysnąwszy oczyma.

– Prawda; na skutek decyzji sądu oficerskiego poproszono mnie o podanie się do dymisji, co zresztą sam już przedtem uczyniłem.

– Wyrzucili cię jak tchórza?

– Tak, ogłosili mnie tchórzem. Ale ja się uchyliłem od pojedynku nie z tchórzostwa, lecz dlatego, że nie chciałem poddać się ich tyrańskiemu wyrokowi i wystąpić z wyzwaniem na pojedynek, skoro nie czułem się obrażony. Wiedz – tu nie zdołałem się pohamować – że przeciwstawić się czynnie takiej przemocy i przystać na wszystkie konsekwencje to było dowodem znacznie większego męstwa niżeli wszelkie pojedynki.

Nie wytrzymałem: tym zdaniem niejako usiłowałem się usprawiedliwiać; a ona tylko na to czekała, na to moje nowe upokorzenie. Roześmiała się zjadliwie.

– A czy to prawda, żeś potem przez trzy lata jak włóczęga laził po ulicach Petersburga, prosząc o dziesięciokopiejkowe datki, i żeś nocował pod bilardami.

– Nocowałem nawet na Siennej, w domu Wiaziemskiego*. Owszem, to prawda: kiedy opuściłem pułk, w moje życie wdarło się wiele sromoty i poniżenia, ale nie był to upadek moralny, gdyż sam pierwszy nienawidziłem swoich ówczesnych poczynań. To był jedynie upadek woli i umysłu, wywołany przez tragizm mego położenia. Ale to minęło...

– Oho, teraz jesteś figurą, finansistą!

Była to aluzja do kasy pożyczkowej, lecz już zdążyłem się opanować. Widziałem, że ona oczekuje poniżających mnie wyjaśnień i wyjaśnień tych jej nie dałem. W samą porę zadzwonił do drzwi interesant; wyszedłem więc do sali. Następnie, już w godzinie później, kiedy się ubrała, zamierzając wyjść, przystanęła przede mną i rzekła:

– Jednak nic mi o tym przed ślubem nie powiedziałaś.

Pominałem to milczeniem. Wyszła.

Tak tedy następnego dnia stałem w tamtym pokoju, za drzwiami, słuchając, jak się rozstrzygał mój los, a w kieszeni miałem rewolwer. Ona była ubrana, siedziała przy stole, a Jefimowicz krygował się

* Dom Wiaziemskiego – przytułek dla nędzarzy w Petersburgu

przed nią. I cóż: wyszło (muszę tu siebie pochwalić), wyszło jota w jotę to, co przeczuwałem i przewidywałem, chociaż nawet nieświadomy, że to przeczuwam i przewidyuję. Nie wiem, czy wyrażam się zrozumiale.

Oto co nastąpiło. Słuchałem przez całą godzinę i przez całą godzinę byłem świadkiem pojedynku najszlachetniejszej i najwznioślejszej kobiety z rozpustnym światowcem, z tępym osobnikiem o pelzającej duszy. I skąd – myślałem zdumiony – skąd ta naiwna, ta łagodna i małowówna istota wszystko to wie? Najdowcipniejszy autor salonowej komedii nie zdołałby stworzyć owej sceny drwin, pełnego nienawiści chichotu oraz świętego oburzenia przy zetknięciu się cnoty z niecnotą! I jakże się skrzyły jej słowa i najdrobniejsze słóweczka! Ileż było humoru w szybkich replikach, jak trafne były jej sądy! A zarazem – ile niemal, dziewczęcej prostoduszności. Wykpiwała wręcz jego wyznania miłosne, jego gesty, jego propozycje. Przybywszy w celu przypuszczenia prostackiego szturmu i nie przewidując oporu, Jefimowicz nagle osłupiał. Zrazu gotów byłem przypuścić, że to z jej strony po prostu kokieteria, „kokieteria rozwiązłej, lecz przy tym sprytnej istoty – żeby nadać sobie wyższą cenę”. Ale nie, prawda zajaśniała jak słońce i niepodobna było powątpiewać. Jedynie poryw sztucznie wznieconej nienawiści do mnie mógł skłonić ją, niedoświadczoną, do urzędzenia tej schadzki; gdy wszakże doszło do realizacji – wnet się jej otworzyły oczy. Oto po prostu miotła się ta istota, chcąc mnie za wszelką cenę znieważyć, lecz zdecydowawszy się na taki manewr, nie wytrzymała jego szpetoty. I czyliż ją, czystą i bezgrzeszną, posiadającą ideał, czyliż mógł ją skusić Jefimowicz albo którakolwiek z tamtych wielkoświatowych kreatur? Przeciwnie, on ją tylko rozśmieszył. Wszystkie prawda wezbrała w jej duszy i oburzenie wytrysło sarkazmem z jej serca. Powtarzam: ten błazen pod koniec całkiem osowiał i siedział nachmurzony ledwo odpowiadając, tak iż zacząłem się wręcz obawiać, by w prostackim odruchu zemsty nie poważył się jej obrazić. I jeszcze raz powtarzam: muszę się

pochwalić, że scenie tej przysłuchiwałem się nieomal bez zdziwienia. Rzekłbym, że oto zastałem same tylko znane rzeczy. Jak gdybym był się tam udał, żeby to zastać. Szedłem tam nie wierząc niczemu, żadnemu oskarżeniu, choć miałem w kieszeni rewolwer, to prawda! I czyliż mogłem inaczej ją sobie wyobrazić? Och, oczywiście wiedziałem, jak dalece mnie nienawidzi, ale upewniłem się i co do tego, jak dalece jest nieskalana. Przerwałem ową scenę, otworzywszy drzwi. Jefimowicz zerwał się, ja ująłem jej rękę i poprosiłem, by wyszła ze mną. Jefimowicz z nagłą wyprostował się dziarsko i wybuchnął śmiechem:

– Och, przeciw świętym prawom małżeńskim nie oponuję, żegnam! I wie pan – zawołał, gdy kierowałem się ku wyjściu – chociaż porządny człowiek nie powinien się z panem pojedynkować, jednakże, przez respekt dla pańskiej damy, jestem do pana dyspozycji... Jeżeli w ogóle pan zaryzykuje...

– Słyszysz – przetrzymałem ją na chwilę w progu. Potem – przez całą drogę – ani słowa. Prowadziłem ją za rękę; szła bez oporu. Przeciwnie: była okrutnie zdumiona, ale tylko w drodze do domu. Gdyśmy się tam znaleźli, siadła na krześle i utkwiała we mnie spojrzeniem. Była niezwykle błada; chociaż wargi jej natychmiast skrzywiły się ironicznie, patrzyła już z uroczystym i surowym wyzwaniem, i chyba całkiem serio była przekonana, że ją zastrzelę. Ale wyjąłem z kieszeni rewolwer i położyłem na stole. Patrzyła w milczeniu na mnie i na broń. Zechciejcie zauważyć: ten rewolwer był jej znany. Nabyłem go i trzymałem nabity, odkąd uruchomiłem kasę pożyczkową. Postanowiłem wtedy nie trzymać w domu groźnych psów ani krzepkiego lokaja, jak to jest na przykład u Mozera. U mnie interesantów wpuszcza kucharka. Ale w naszym zawodzie niepodobna obywać się – na wszelki wypadek – bez środków samoobrony, więc miałem w domu nabity rewolwer. Żona w pierwszych dniach po zamieszkaniu u mnie wielce się tym rewolwerem interesowała, wypytywała mnie i nawet wyjaśniłem jej mechanizm, i wtajemniczyłem w działanie, i w końcu namówiłem ją, by raz wystrzeliła do celu. Proszę

to wszystko zapamiętać. Nie zwracając uwagi na jej wystraszoną minę, na pół rozebrany położyłem się do łóżka. Byłem ogromnie osłabiony. Dochodziła jedenasta. Ona nadal siedziała na tym samym miejscu, bez ruchu, jeszcze bez mała godzinę, następnie zdmuchnęła świecę i – również nie rozebrana – położyła się na kanapie przy ścianie. Po raz pierwszy nie ze mną; to także zechciejcie zauważyć...

VI. OKROPNE WSPOMNIENIE

Kolej teraz na to okropne wspomnienie.

Obudziłem się rankiem – zdaje się po siódmej; w pokoju było już zupełnie jasno. Ocknąłem się od razu – całkiem przytomny – i nagle otworzyłem oczy. Ona stała obok stołu i trzymała w rękach rewolwer. Nie wiedziała, że się obudziłem i że patrzę. Wtem spostrzegam, że zaczyna się ku mnie zbliżać z tym rewolwerem w ręce. Spiesźnie zamknąłem oczy, udając głęboko uśpionego.

Doszła do łóżka i stanęła nade mną. Słyszałem wszystko: chociaż zapanowała grobowa cisza, przecie słyszałem tę ciszę. Nagle wyczułem jakiś jej kurczowy ruch – niepowstrzymanie, mimo woli, odmknąłem powieki: patrzała mi prosto w oczy, a rewolwer znajdował się tuż przy mojej skroni. Spojrzenia nasze spotkały się. Ale patrzeliśmy na siebie zaledwie chwilkę. Zmusiłem się do zamknięcia oczu i w tymże momencie – całą siłą woli – postanowiłem, że już się więcej nie poruszę i nie rozewrę powiek – cokolwiek mnie czeka.

Rzeczywiście zdarza się, że ktoś pogrążony w głębokim śnie nagle odmyka oczy, nawet na chwilkę unosi głowę i rozgląda się po pokoju, i zaraz potem, straciwszy świadomość, znowu kładzie głowę na poduszce i zasypia, nic nie pamiętając. Otóż kiedy zetknąwszy się z jej spojrzeniem i poczuwszy lufę rewolweru przy skroni szybko zamknąłem ponownie oczy, nie poruszając się, jak gdybym spał głęboko, ona z pewnością mogła przypuścić, że ja naprawdę śpię i że nie widziałem nic, zwłaszcza że byłoby wręcz nieprawdopodobne,

abym zobaczywszy to, co zobaczyłem, w takim momencie ponownie zamknął oczy.

Tak, to było nieprawdopodobne! Ale jednak mogła być także odgadnąć prawdę – to mi właśnie w owej chwili przemknęło w umyśle. Och, jakiż wicher myśli i doznań zakłębił się we mnie! Pochwalona niechaj będzie elektryczność myśli człowieczej! W takim wypadku (tak to wyczułem), jeżeli odgadła prawdę i wie, że nie śpię – to już ją zmiażdżyłem tą swoją gotowością poniesienia śmierci i dłoń jej może zadrzeć. Dawne zdecydowanie może runąć w zetknięciu się z tym nowym doznaniem. Powiadają, że kiedy się stoi gdzieś wysoko, coś nas jak gdyby ciągnie w dół, w przepaść. Myślę, że do niejednego samobójstwa albo zabójstwa doszło jedynie dlatego, że rewolwer był już w ręce. Tutaj także bezdenń, pochyłość czterdziestopięciostopniowa, z której niepodobna się nie stoczyć, i coś nas nieodparcie skłania do spuszczenia kurka. Jednakże świadomość, że wszystko widział, że wiem wszystko i w milczeniu oczekuję śmierci, którą mi zada – ta świadomość mogła być ją powstrzymać na pochyłości.

Cisza przeciągała się i nagle przy skroni, u nasady włosów, poczułem chłód stali. Spytacie: czy miałem niezłomną nadzieję ocaleć? Odpowiem jak przed Bogiem: nie miałem żadnej nadziei oprócz chyba jednej szansy na sto.

Czemu godziłem się na śmierć? Odpowiem pytaniem: a po cóż mi było żyć z chwilą, gdy uwielbiana istota przytknęła mi do skroni rewolwer? Nadto wiedziałem – byłem tego świadom wszystką mocą mego jestestwa – że w tym momencie odbywa się między nami walka, straszliwy pojedynek na śmierć i życie, pojedynek owego właśnie wczorajszego tchórza za małoduszność wypędzonego przez swych towarzyszków. Wiedziałem to i ona to wiedziała – jeśli tylko odgadła prawdę, że nie śpię.

Może zresztą tak nie było, może wtedy nawet tak nie rozumowałem, ale przecież to wszystko musiało tak być – niechby i bez tych

myśli – ponieważ później w każdej godzinie swego życia właśnie o tym tylko myślałam.

Lecz gotowicie zapytać: czemu to nie uchroniłam jej od popełnienia występku? Och, ja sobie sam później po tysiącokroć to pytanie zadawałam za każdym razem, gdy przejęty dreszczem wspominałam ową sekundę. Ale moja dusza tonęła w mroku rozpaczy: ginąłem, sam ginąłem; kogóż tedy byłbym mógł ratować? No i skąd wicie, czy kogokolwiek ratować wtedy chciałem? Skąd można wiedzieć, co wtedy mogłem odczuwać?

Świadomość jednak kipiała; mijały sekundy, trwała martwa cisza; ona wciąż stała nade mną – i oto nagle drgnąłem, tknięty nadzieją. Spieszenie otwarłem oczy. Jej nie było już w pokoju. Wstałem z łóżka: zwyciężyłem – została pokonana na wieki!

Podszedłem do samowara. Herbatę podawano u nas zawsze w pierwszym pokoju, przy czym nalewała ją żona. Usiadłem za stołem w milczeniu i wzięłem podaną przez nią szklankę. Po upływie pięciu minut spojrzałem na nią. Była okropnie blada, jeszcze bledsza niżeli wczoraj, i patrzyła na mnie. I z nagłą, z nagłą, widząc, że na nią patrzę, blado uśmiechnęła się bladymi wargami z nieśmiałym w oczach pytaniem. Widać jeszcze ma wątpliwości i medytuje: „czy on wie, czy nie, widział, czy też nie widział?” Obojętnie odwróciłem od niej wzrok. Po herbacie zamknąłem kasę, poszedłem na rynek i kupiłem żelazne łóżko oraz parawan. Po powrocie do domu kazałem łóżko postawić w sali i odgrodzić parawanem. To łóżko było przeznaczone dla niej, ale nic jej nie powiedziałem. Lecz na widok tego łóżka zrozumiała bez słów, że „widziałem i wiem wszystko” i że nie ma już wątpliwości. Na noc zostawiłem rewolwer jak zwykle na stole. Ona w milczeniu położyła się do nowego łóżka: małżeństwo było rozerwane, ona „pokonana, ale nie ułaskawiona”. W nocy popadła w majaczenia, a rankiem dostała gorączki. Przeleżała całe sześć tygodni.

ROZDZIAŁ DRUGI

I. SEN DUMY

Łukieria z miejsca oświadczyła, że mieszkać u mnie nie będzie i gdy tylko panią pochowają, odejdzie. Modliłem się na klęczkach przez pięć minut, a chciałem się modlić przez całą godzinę, ale bez przerwy rozmyślałem, rozmyślałem, i gorzkie myśli wciąż się cisną, i głowa boli: jakże tu się modlić? Grzech tylko! Dziwne też, że mi się nie chce spać: kiedy przeżywamy wielkie, zbyt wielkie cierpienie, po pierwszych mocnych wybuchach ogarnia nas senność. Skazani na karę śmierci podobno w ostatnią noc śpią twardo. Tak też być powinno, to zgodne z prawami natury, bo inaczej by nie wytrzymali... Ległem na kanapie, ale nie zasnąłem...

Przez sześć tygodni choroby doglądaliśmy jej dniem i nocą – ja z Łukierią oraz sprowadzona przeze mnie dyplomowana pielęgniarka. Pieniędzy nie szczydziłem i nawet rad byłem wydawać na nią. (...) Tak, to prawda, trwaliśmy w zupełnym milczeniu, to jest później zaczęliśmy nawet mówić, tyle że jedynie o sprawach powszednich. Ja, ma się rozumieć, wypowiadałem się lakonicznie, ale doskonale zauważyłem, że i jej dogadzała małowówność. Wydało mi się to z jej strony całkiem naturalne. „Jest zbyt wstrząśnięta i dostatecznie pokonana – rozumowałem. Trzeba koniecznie pozwolić jej zapomnieć i przywyknąć.” Tak tedy milczeliśmy oboje, ale ja wciąż się przygotowywałem wewnętrznie na spotkanie przyszłości. Sądziłem, że i w niej dzieje się to samo i ogromnie mnie intrygowało odgadywanie: o czym też teraz myśli?

Dodam jeszcze: och z pewnością nikt nie wie, com przecierpiał lamentując nad nią podczas tej choroby. Lecz te lamenty dławilem w piersi kryjąc się z nimi nawet przed Łukierią. Nie mogłem sobie wyobrazić, nawet przypuścić nie mogłem, żeby ona miała umrzeć nie dowiedziawszy się wszystkiego. Kiedy zaś niebezpieczeństwo

minęło i zaczęła powracać do zdrowia – nader szybko, pamiętam, uspokoiłem się. Nie dość na tym: postanowiłem odłożyć naszą przyszłość na możliwie daleki termin, a na razie wszystko pozostawić w nie zmienionym kształcie. Tak, zaszło wtedy we mnie coś osobliwego, niesamowitego, nie potrafię tego inaczej określić: zatriumfowałem – i to poczucie okazało się dla mnie całkowicie zadowalające. No i tak upłynęła zima. Och, byłem zadowolony jak nigdy dotychczas – i to przez całą zimę.

Bo widzicie: w moim życiu była jedna zewnętrzna okoliczność, która aż do chwili obecnej, to znaczy aż do samej katastrofy z żoną, co dzień i o każdej godzinie uciskała mnie, mianowicie utrata reputacji. (...)

Postanowiłem założyć prywatny lombard, nie zabiegając o łaskę bliźnich: pieniądze, potem własny kąt i... nowe życie, z dala od dawnych napomnień. Oto był mój plan. Ale ciemna przeszłość i na zawsze zepsuta opinia dręczyły mnie nieustannie. No i wtedy ożeniłem się. Przypadkiem czy nie – nie wiem. Tyle tylko, że wprowadzając ją do swego domu sądziłem, że wprowadzam przyjaciela, a właśnie przyjaciel był mi nade wszystko potrzebny. Ale rozumiałem dobrze, iż tego przyjaciela należy przysposobić, urobić i wręcz ujarzmić. A czyż cokolwiek z tego mogłem tak z miejsca wyłożyć tej uprzedzonej do mnie szesnolatce? Jakże bym na przykład potrafił – bez przypadkowej pomocy, jaką mi zesłała owa straszliwa scena z rewolwerem – przekonać ją, że nie jestem tchórzem i że w pułku niesprawiedliwie zarzucano mi tchórzostwo? Ale katastrofa nastąpiła w porę. Wyrzymawszy groźbę rewolweru, wziąłem odwet za całą swą ponurą przeszłość. I chociaż nikt o tym nie myślał, wiedziała to ona – a to było dla mnie wszystkim, gdyż ona sama wszystkim dla mnie była, całą nadzieją moich rojeń o przyszłości! Ona była jedynym człowiekiem, którego hodowałem dla siebie, a innych nie potrzebowałem – i oto dowiedziała się wszystkiego: tego w każdym razie, że niesłusznie postąpiła przystając do moich wrogów.

Upajałem się tą myślą. W jej oczach nie mogłem już być nikczemnikiem, mogła mnie tylko uważać ot za... dziwaka; ale i ta myśl teraz, po wszystkim, co zaszło, wcale mi nie była przykra: dziwność nie jest grzechem, lecz przeciwnie, niekiedy podbija kobiecą naturę. Jednym słowem, rozmyślnie odsunąłem podsumowanie: to, co się dokonało, wystarczało aż nadto dla mojego spokoju oraz zawierało zbyt wiele obrazów i tworzywa dla moich marzeń. W tym właśnie sęk, że jestem marzycielem; miałem sam materiału pod dostatkiem, o niej zaś myślałem: że poczeka.

Tak minęła zima – w jakimś czegoś tam oczekiwaniu. Lubilem ukradkiem przyglądać się jej, siedzącej przy swoim stoliku. Zajmowała się szyciem, naprawą bielizny, a czasem wieczorami czytała książki, które brała z mojej szafy. Dobór tych książek również powinien był przemawiać na moją korzyść. Nie wychodziła prawie nigdzie. Po obiedzie, przed zapadnięciem zmierzchu, wyprowadzałem ją co dzień na przechadzkę; odbywaliśmy te spacery już nie, jak dawniej, w całkowitym milczeniu. Ja mianowicie dokładałem starań, aby wyglądało, że rozmawiamy zgodnie, ale, jak już wspomniałem, oboje baczyliśmy, żeby się raczej zbyt szeroko nie rozwódzić. Ja czyliłem to umyślnie, przy czym uważałem, że jej należy koniecznie „dać czas”. Ma się rozumieć, dziwne to, iż przez całą zimę ani razu nie przyszło mi na myśl, że lubię ukradkiem się jej przyglądać, a przez całą zimę nie pochwyliłem ani jednego jej spojrzenia skierowanego ku mnie! Przypisywałem to jej nieśmiałości. Zwłaszcza że po chorobie miała tyle lekliwej pokory, tyle bezszyf. Nie, lepiej poczekaj i – „i nagle sama do ciebie podejdzie...”

Ta myśl zachwycała mnie nieodparcie. Dodam jeszcze jedno: niekiedy jakby naumyślnie sam się rozdrażniałem i rzeczywiście doprowadzałem się do tego, iż, rzekłoby się, żywiłem do niej urazę. I tak się to ciągnęło przez jakiś czas. Ale nienawiść nigdy nie mogła dojrzeć i ugruntować się w mej duszy. Sam przy tym czułem, że to tylko jakaś gra. Ależ i wtedy nawet, chociaż rozerwałem nasze małżeństwo,

kupiwszy łóżko i parawan – nigdy wszakże, nigdy nie potrafiłem spojrzeć na nią jako na zbrodniarkę. I nie dlatego, że niepoważnie osądził jej przestępstwo, lecz dlatego, że zamierzałem przebaczyć jej całkowicie od pierwszego dnia, jeszcze nawet zanim kupilem to łóżko. Słowem, jest to u mnie osobiliwe, albowiem mam surowe zasady moralne. Poza tym w moich oczach ona była tak pogwałcona, tak upokorzona, tak zmiażdżona, że się nad nią chwilami boleśnie litowałem, aczkolwiek przy tym wszystkim wyraźną przyjemność sprawiała mi myśl o jej poniżeniu. Podobało mi się poczucie naszej nierówności... (...)

Ale nadciągała wiosna, była już połowa kwietnia, z okien wyjęto podwójne szyby i słońce jęło jasnymi wiązkami promieni rozświetać nasze głuche pokoje. Lecz zasłona wisiała nade mną i zaciemniała mi oczy. Złowieszcza, straszliwa zasłona. Jak to się stało, że raptem spadła z moich oczu i że nagle przejrzałem, i wszystko zrozumiałem? Czy stało się to przypadkowo, czy dzień taki nadszedł szczególnie, czy promień słoneczny rozniecił myśl i domysł w mojej otępiełej głowie?

Nie, nie myśl, nie domysł tu zabłysnął, lecz z nagłą zadrgała jedna żyłka, z dawna zamarła, zadrgała i ożyła, i olśniła całą moją otępiełą duszę. Wtedy zupełnie jakbym nagle zerwał się z miejsca... Bo też wydarzyło się to nagle i niespodzianie.

A wydarzyło się to po obiedzie, pod wieczór, około godziny piątej.

II. ZASŁONA NAGLE OPADEŁA

(...) I oto w miesiąc później, o godzinie piątej, w jasny słoneczny dzień kwietniowy siedziałem przy kasie, sprawdzając rachunki. Wtem słyszę, że ona – tam obok, w naszym pokoju, przy swym stoliku z robótką – cichutko zaśpiewała. Nowość ta wywarła na mnie wstrząsające wrażenie i do dziś nie potrafię tego pojąć. Dotychczas prawie nigdy nie słyszałem jej śpiewu, chyba tylko może w pierwszych dniach, gdy ją był wprowadził do swego domu i kiedy jeszcze mogłimi zabawiać

się strzelaniem do celu z rewolweru. Wtedy głos miała jeszcze dosyć silny, acz niezbyt pewny w intonacji, ale za to niezwykle miły i zdrowy. Teraz zaś piosenka brzmiała tak słabiutko – och, nie szczególnie żałośliwie (był to jakiś romans), ale, rzekłbyś, głos był jakiś nadpęknięty, złamany, jak gdyby ten głosik nie mógł dać sobie rady, jak gdyby sama piosenka była chora. Żona nucila i oto raptem na wysokiej nucie głos jej się oberwał – taki wąty był ten głosik, tak smętnie opadł; odkaszlnęła i znów cichutko zaśpiewała...

Moje wzruszenia wydadzą się śmieszne, ale nikt nigdy nie zrozumie, czemu się przejąłem! Nie, jeszcze nad nią nie litowałem, to było coś całkiem innego, początkowo, przynajmniej w pierwszych minutach, wystąpiło nagle zmieszanie i straszliwe zaskoczenie, straszne i niesamowite, bolesne i nieomal mściwe: „Śpiewa, i to przy mnie! Zapomniała o mnie czy co?”

Wstrząśnięty do głębi trwałem na miejscu, potem nagle wstałem, nałożyłem kapelusz i wyszedłem jak błędny. W każdym razie nie wiem po co i dokąd. Łukieria podała mi palto.

– Śpiewa? – spytałem mimowolnie. Łukieria patrzyła na mnie, nie pojmując o co chodzi. Bo też istotnie nie sposób było mnie zrozumieć.

– Pierwszy raz śpiewa?

– Nie, kiedy pana nie ma, czasem śpiewa.

Pamiętam wszystko. Zszedłem po schodach, znalazłem się na ulicy i ruszyłem bez celu przed siebie. Przystanąłem na rogu i rozejrzałem się wokoło. Mijano mnie, potrącano; nie czułem nic. Skinąłem na dorożkarza i kazałem się zawieźć – nie wiem po co – na Policajskij Most; potem nagle zrezygnowałem i rzuciłem mu dwudziestokopiejkową.

– Masz tu za fatygę – powiedziałem śmiejąc się do niego bezmyślnie, ale serce wezbrało mi jakimś nagłym zachwyceniem.

Przyśpieszywszy kroku, wróciłem do domu. Nadpęknięta, żałosna, urwana nutka raptem znowu zadźwięczała w mej duszy. Brakło mi

tehu. Opadała, opadała z oczu zasłona! Skoro przy mnie zaśpiewała – snadź zapomniała o mnie, oto co było jasne i straszne. To czuło moje serce. Jednak w duszy promieniał zachwyt przemagając trwogę.

O, ironio losu! Wszak nic innego nie było i nie mogło być w mojej duszy – prócz owego właśnie zachwytu, tylko gdzież ja sam byłem w ciągu owej zimy? Alboż to byłem ja?

Wbiegłem po schodach w wielkim pośpiechu; nie wiem, czym wszedł nieśmiało... To tylko pamiętam, że podłoga zdawała się falować, a ja jak gdybym płynął po rzecce. Wszedłem do pokoju: siedziała na tym samym miejscu, przechyliwszy głowę, ale już nie śpiewała. Zerknęła ku mnie przelotnie i bez zaciekawienia; lecz nie było to nawet spojrzenie – ot jedynie odruch, zwykły i obojętny, kiedy ktośkolwiek wchodzi do pokoju.

Podszedłem wprost do niej i usiadłem obok na krześle; byłem jak niespełna rozumu. Ona obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, jakby przeląkłszy się; ująłem jej dłoń i nie pamiętam, co powiedziałem, to jest, co chciałem powiedzieć, gdyż nie byłem zdolny mówić dorzecznie. Głos mi się załamywał i odmawiał posłuszeństwa. A zresztą nie wiedziałem, co powiedzieć, i tylko krztusiłem się.

– Porozmawiamy... wiesz... powiedz cokolwiek! – nagle wybąkałem głupawo; och! alboż mi w głowie były mądrości? Ona znowu drgnęła i odsunęła się, mocno wystraszona spojrzała na moją twarz, lecz nagle w jej oczach odmalowało się surowe zdziwienie. Tak, zdziwienie, surowe. Patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma. Ta surowość, to surowe zdziwienie, z miejsca mnie zdruzgotaly: „Więc chcesz jeszcze miłości? Miłości?” – wystąpiło w tym jej zdziwieniu pytanie, chociaż trwała w milczeniu. Lecz ja wszystko odczytałem. Zatrząsałem się cały i przypadłem do jej nóg. Tak, runąłem do jej nóg. Poderwała się gwałtownie, ale bardzo mocno przytrzymałem jej obie ręce.

I pojmowałem, ach, pojmowałem w pełni własną rozpacz! Ale czy uwierzyć? – uniesienie kipiało w mym sercu tak nieodparcie,

iż myślałem, że umrę. W upojeniu i szczęściu całowałem jej stopy. Tak, w szczęściu bezmiernym i bezgranicznym – a zarazem ze świadomością całej beznadziejności mej rozpaczki! Plakałem. Mówiłem coś, ale nie mogłem mówić. W niej lęk i zdumienie nagle ustąpiły miejsca jakiemuś zatroskaniu, jakimś niesamowitym pytaniem; patrzyła na mnie dziwnie, nawet dziko, usiłowała coś czym prędzej pojąć i uśmiechnęła się. Ogromnie była zażenowana, że całuje ją po nogach i usuwała je, lecz ja wtedy całowałem to miejsce na podłodze. Widziała to i ze wstydu nagle zaczęła się śmiać (wiecie, jak to bywa, że ktoś śmieje się ze wstydu); nadciągał wybuch hysterii, widziałem, jak drgają jej ręce – i nie myślałem o tym, i wciąż bełkotałem, że ją kocham, że nie wstanę i: „pozwól mi całować twoją sukienkę... tak, przez całe życie modlić się do ciebie...” Nie wiem, nie pamiętam – nagle ona zatrzęsała się i wybuchnęła łkaniem: nastąpił okropny atak hysterii wywołany przerażeniem, jakie w niej wzbudziłem.

Przeniosłem ją na łóżko. Kiedy atak minął, przysiadła na krawędzi i – z wyrazem ogromnego przygnębienia – schwyciła obie moje dłonie prosząc, bym się uspokoił.

– Zapanuj nad sobą, nie męcz się, weź się w garść! – i znowu w płacz.

Nie opuściłem jej w ciągu całego owego wieczora. Wciąż jej mówiłem, że zawiozę ją do Boulogne, żeby się kąpała w morzu, teraz zaraz, za dwa tygodnie, że ma taki nadpęknięty głosik, słyszałem przecież... że zlikwiduję kasę, sprzedam Dobronrawowowi, że zaczniemy wszystko na nowo, a przede wszystkim do Boulogne! Słuchała wciąż zaleknień. Bała się jeszcze bardziej. Ale ja nie tym byłem najgłębiej przejęty, lecz tym, że coraz mocniej odżywało we mnie nieustępliwe pragnienie leżenia u jej nóg i znów chciałem całować, całować miejsce, gdzie stoją jej nogi, i modlić się do niej, i „nic ponadto, nic od ciebie nie zażądam” powtarzałem co chwila. Nic mi nie odpowiadaj, nie zauważaj mnie wcale i pozwól tylko z ubocza patrzeć na ciebie, uczyni mnie swoją rzeczą, pieskiem...

Pląkała.

– A ja myślałam, że zostawisz mnie tak – wymknęło się jej z nagła mimo woli – tak dalece mimo woli, że może zgoła nie spostrzegła, kiedy to powiedziała, gdy tymczasem – och! to była najważniejsza, najbardziej rozstrzygająca i najbardziej dla mnie zrozumiała wypowiedź, która mnie niby nożem dźgnęła w serce! Te słowa wszystko mi wyjaśniły, lecz dopóki miałem ją tu obok, przed oczyma, żywiłem niezłomną nadzieję i byłem niezmiernie szczęśliwy. Ach, okrutnie znużyłem ją owego wieczora, zdawałem sobie z tego sprawę, ale nieustannie sądziłem, że wszystko natychmiast przeksztalczę. Wreszcie, z nadejściem nocy, osłabła ostatecznie; wtedy namówiłem ją, by zasnęła – i z miejsca zapadła w głęboki sen. Przewidywałem malignę i rzeczywiście wystąpiła, chociaż bardzo lekka. W nocy niemal co chwila wstawałem, cichutko, w pantoflach podchodziłem, żeby na nią patrzeć. Załamywałem nad nią ręce, patrząc na tę chorą istotę na lichym żelaznym łóżeczku (które dla niej kupiłem za trzy ruble). Klękałem przed nią, ale nie śmiałem całować jej nóg (bez jej wiedzy!), gdy spała. Próbowalem modlić się do Boga, lecz się znów zrywałem. Łukieria coraz wychodziła z kuchni i przyglądała mi się. Wstąpiłem do niej i powiedziałem, żeby się położyła, i że jutro zacznie się „całkiem coś innego”.

I wierzyłem w to, wierzyłem ślepo, szaleńczo. Ach, tonąłem w zachwycie, w upojeniu! Wyczekiwałem tylko tego jutra. Przede wszystkim – wbrew wszelkim symptomatom – nie obawiałem się żadnego nieszczęścia. Nie odzyskałem w pełni rozeznania – chociaż zasłona spadła mi z oczu – i to rozeznanie długo, długo nie powracało, och, aż do dziś, aż do dzisiejszego dnia! Bo też jak mogło powrócić: przecież ona wtedy jeszcze żyła, była tuż przede mną, a ja byłem przed nią: „Jutro się obudzi, a ja jej wszystko powiem i ona wszystko zobaczy.” Oto moje ówczesne rozumowanie – proste i jasne – stąd to upojenie! Najważniejszą sprawą była owa podróż do Boulogne. Nie wiedzieć czemu wciąż myślałem,

że Boulogne – to wszystko, że w Boulogne zawiera się coś ostatecznego: „Do Boulogne, do Boulogne!” Oblędnie oczekiwałem ranka.

III. ZBYT WIELE ROZUMIEM

A przecież to nastąpiło zaledwie przed kilku dniami, przed pięcioma, wszystkiego pięcioma dniami – w ubiegły wtorek! Nie, nie, gdyby jeszcze tylko trochę czasu, gdyby jeszcze chociaż odrobinę odczekała... byłbym rozproszył mrok! Czyż się bowiem nie uspokoiła? Wszak zaraz nazajutrz – mimo zmieszania – słuchała mnie z uśmiechem... Sedno właśnie w tym, że przez cały ten czas, w ciągu pięciu dni, była zmieszana i zawstydzona. Bała się także, bardzo się bała. Ja się nie spieram, nie myślę zaprzeczać jak wariat: była wystraszona, ale czy mogła się nie lękać? Przecież od tak dawna staliśmy się sobie obcy wzajem, takeśmy odwykli jedno od drugiego – a tu raptem to wszystko... Ale nie dostrzegałem jej trwogi, nowość promieniowała!... To prawda, prawda bezsporna, że popełniłem błąd. I może nawet sporo błędów. Ot, ledwo zbudziwszy się, zaraz z samego ranka (to było w środę) popełniłem omyłkę: z miejsca uczyniłem ją swym przyjacielem. Pośpieszyłem się, zanadto się pośpieszyłem, ale przecież spowiedź była potrzebna, niezbędna – co mówię: więcej niżeli spowiedź! Nie zataiłem nawet tego, co wręcz sam przed sobą ukrywałem. Otwarcie wyznałem, że przez całą zimę o tym jednym tylko myślałem, że byłem przeświadczony, iż mnie kocha. Wyjaśniłem jej, że kasa pożyczkowa była jedynie następstwem upadku mojej woli i umysłu, samoudręczenia i samochwalby. Wytłumaczyłem jej, że wtedy w bufecie rzeczywiście stchórzyłem; winna temu moja natura, moja podejrzliwość: wstrząsnęły mną okoliczności, to otoczenie, ten bufet, myśl: jakże tak z nagła wystąpię, czy to nie wypadnie głupio? Stchórzyłem nie przed pojedynkiem, tylko przed myślą: czy to nie wypadnie głupio... A potem... to już nie chciałem się przyznać, no i dręczyłem wszystkich, i ją też zadręczałem, aż się

z nią ożeniłem, żeby ją za to dręczyć. W ogóle mówiłem przeważnie jak w gorączce. Ona sama brała mnie za ręce i prosiła, abym przestał.

– Przesadzasz... zamęczasz się! – i znów zaczynały się łkania, znowu groziły ataki nerwowe! Ustawicznie prosiła, żebym o tym wszystkim nie mówił i nie wspominał.

Opowiadałem jej wszystko o sobie i o niej. I o Łukierii. Mówiłem, żem płakał... Och, zmieniałem ton rozmowy, ja też starałem się nie poruszać wcale niektórych tematów. I ona przecież ożywiła się raz czy drugi, ja to pamiętam, pamiętam! Czemuż, powiadacie, żem patrzył na wszystko i nic nie widział? I gdyby tylko tamto się nie zdarzyło, toby odżyło wszystko. Wszak jeszcze dwa dni przedtem, kiedy rozmowa zatraciła o lekturę i o to, co w ciągu tej zimy przeczytała – ona też mówiła i śmiała się wspominając dialog Gil Błasa z arcybiskupem Grenady. A był to taki dziecinny śmiech, przemiły, taki sam jak dawniej, za czasów narzeczeństwa (moment! mgnienie!). Jakże się cieszyłem! Zresztą zdziwiłem się ogromnie, słysząc ją wspominającą o arcybiskupie; snadź jednak znalazła w sobie tyle spokoju ducha i tyle szczęśliwości, żeby się zaśmiewać nad literackim arcydziełem, siedząc ze mną w tym pokoju. Widać więc poczynała się już uspokajać całkowicie, w pełni zaczynała ufać, że ją pozostawię tak. „Myślałam, że zostawisz mnie tak” – oto były jej słowa wypowiedziane we wtorek! Ach, toż to była myśl dziesięcioletniej dziewczynki! I przecież wierzyła, że wszystko istotnie pozostanie tak samo: ona przy swoim stole, ja przy swoim – i tak oboje aż do sześćdziesięciu lat. A tu raptem podchodzi do niej mąż i ten mąż pragnie miłości! Ach, co za nieporozumienie, jakaż moja ślepotą!

Posłuchajcie i zechciejcie rozważyć! Przecież kiedyśmy się zesзли przy herbacie (po wczorajszym ataku), ona sama wręcz zadziwiła mnie swym spokojem, oto jak było! A tymczasem ja całą noc przetrwałem w lęku po wczorajszej scenie. Aliści oto nagle ona zbliża się do mnie i splótnszy dłonie powiada, że jest przestępczynią,

że wie, co to znaczy, że pamięć tego przestępstwa dręczyła ją przez całą zimę i nadal teraz dręczy... Że ona zbyt wysoko ceni moją wielkoduszność...

– Będę ci wierną żoną, będę cię szanowała...

Wtenczas zerwałem się i jak szaleniec objąłem ją uściskiem! Całowałem, całowałem ją w usta, jak mąż, po raz pierwszy po naszej długotrwałej rozłące. I dlaczego – zaledwie tak niedawno temu – wyszedłem raptem na dwie godziny? Nasze paszporty zagraniczne... Ach, Boże! Niechbym tylko o pięć minut wcześniej wrócił, tylko o pięć minut!... A tu – ten tłum w naszej bramie, te zwrócone ku mnie spojrzenia... O, Boże!

Łukieria mówi (o, ja teraz za nic w świecie nie pozwolę jej odejść, ona będzie mi wszystko opowiadać), Łukieria mówi, że po moim wyjściu, a zaledwie w jakieś dwadzieścia minut przed powrotem, weszła nagle do pani – do naszego pokoju – żeby się, nie pamiętam już o co, zapytać, i zobaczyła, że obraz (ten sam obraz Matki Boskiej) jest wyjęty i ustawiony na stole, i wygląda na to, że pani się właśnie przed nim modliła.

I uśmiechnęła się, ale tak jakoś dziwnie. Tak dziwnie, że Łukieria po dziesięciu minutach wróciła, żeby się jej przyjrzeć: „Stoi pod ścianą przy samym oknie, głowę wsparła na ręce, stoi ci tak i rozmyśla. A tak głęboko zamyślona, że mnie nie usłyszała, jak tam stoję i patrzę na nią z drugiego pokoju. Widzę, że się jakby uśmiecha, stoi, myśli i uśmiecha się. Popatrzyłam ci na nią, obróciłam się cichutko, wyszłam i sama się także zamyślałam... Wtem słyszę, że okno zostało otwarte. Zaraz poszłam przestrzec:

– Chłodno, żeby się pani nie zaziębiła...

A tu widzę, że weszła na parapet i cała tam stoi w otwartym oknie, odwrócona do mnie plecami, a w rękach trzyma obraz. Serce we mnie zamarło; wołam:

– Proszę pani, proszę pani!

Usłyszała, poruszyła się, jak gdyby miała się odwrócić do mnie, ale się nie odwróciła, tylko postąpiła krok naprzód, obraz przycisnęła do piersi i rzuciła się w dół!

To tylko pamiętam, że gdym wszedł do bramy, była jeszcze ciepła. A tu – wszyscy na mnie patrzą. Z początku coś tam wykrzykiwali, lecz nagle zamilkli i rozstępują się przede mną, a ona... ona leży z tym obrazem. Pamiętam jak skroś mgłę, że podszedłem ku niej w milczeniu i długo wpatrywałem się. Stała tam także Łukieria, a ja jej nie widziałem. Twierdzi, że mówiła do mnie. Zapamiętałem jedynie jakiegoś mieszczanina; wciąż powtarzał, że „tylko krzynka krwi wyciekła z ust, krzynka, krzynka!” i wskazywał mi tę krew – tuż obok, na kamieniu. Zdaje się, że dotknął palcem, zaplamiał palec, patrzę nań (to pamiętam), a ten mi wciąż: „Tylko krzynka, krzynka.”

– No więc co z tego, że krzynka? – ryknąłem podobno na cały głos, wzniosłem ręce i rzuciłem się na niego...

Och, szaleństwo, szaleństwo! Nieporozumienie! Nieprawdopodobieństwo! Niemożliwość!

IV. SPÓŹNIŁEM SIĘ ZALEDWIE O PIĘĆ MINUT

A czyż nie tak? Czy to prawdopodobne? Czy można powiedzieć, że to możliwe? Dlaczego, po co umarła ta kobieta?

Ach wierzcie mi, ja rozumiem: ale czemu umarła – to bądź co bądź zagadka. Przeraziła ją moja miłość, zastanowiła się poważnie: przyjąć ją, czy odrzucić? I nie wytrzymała tego pytania, i wołała umrzeć. Wiem, wiem, zbędne głowić się nad tym: dała zbyt wiele obietnic, złąkla się, że ich dotrzymać nie zdoła – to jasne. Jest kilka okoliczności całkiem niesamowitych.

No bo dlaczego umarła? To pytanie bądź co bądź trwa. To pytanie stuka, stuka w moim mózgu... Byłbym ją przecie zostawił tak, gdyby zechciała, żeby tak pozostało. Ale nie uwierzyła w to, ot co! Nie, nie, kłamie: wcale nie to. Po prostu dlatego, że ze mną musiała postąpić

rzetelnie: jeżeli kochać – to pełnią miłości, a nie tak jak kochałaby kupca. A że była zbyt prawa, zbyt czysta, by przystać na taką miłość, jakiej wymagał kupiec, tedy nie chciała mnie zwodzić. Nie chciała ludzić półmiłością imitującą miłość albo nawet ćwierćmiłością. Arcyuczciwe są niektóre kobiety, o tak! A ja jej chciałem zaszcześcić pełnię serca, pamiętacie? Dziwaczny pomysł!

Ogromnie mnie ciekawi: czy mnie szanowała? Nie wiem: gardziła mną, czy nie? Nie sądzę, żeby gardziła. Nader to osobliwe: dlaczego ani razu nie przyszło mi do głowy, że ona mną pogardza? Byłem jak najmocniej przeświadczony, iż jest przeciwnie – aż do tamtej chwili, kiedy spojrzała na mnie z surowym zdziwieniem. Właśnie: z surowym. Wtedy to w lot zrozumiałem, że ona mną gardzi. Zrozumiałem bezpowrotnie, na wieki! Och, niechby gardziła – chociażby przez całe życie – byleby żyła, byleby żyła! Dopiero co jeszcze chodziła, mówiła. Ani rusz nie pojmuję, że się rzuciła z okna! I skąd mogłem przypuścić – choćby na pięć minut przedtem? Zawolałem Łukierię. Ja teraz Łukierii nie odprawię za nic w świecie!

Och, mogliśmy jeszcze dojść do porozumienia. Ogromnie tylko odwykliśmy wzajem jedno od drugiego, ale czyliż nie można było na nowo się przystosować? Czemu, czemu nie mielibyśmy zbliżyć się, rozpocząć nowego życia? Ja jestem wielkoduszny, ona też – oto punkt styczności! Jeszcze tylko kilka słów, nie więcej niż dwa dni – wszystko by zrozumiiała.

Najbardziej bolesne jest to, że to wszystko było przypadkiem, barbarzyńskim, prostackim przypadkiem. Oto klęska! Pięć minut – i moment przesunąłby się bokiem jak chmura i nigdy by jej to potem nie przyszło do głowy. I koniec byłby taki, że wszystko by zrozumiiała. A teraz – znowu puste pokoje, teraz znów samotność. Oto stuka wahadło, jemu nic do tego, jemu niczego nie żal. Nie ma nikogo – oto klęska!

Chodzę, wciąż chodzę. Wiem, wiem, nie odpowiadajcie: śmieszcy was, że się skarżę na przypadek i na pięć minut. Ale to przecież

oczywiste. Rozważcie to tylko: nie zostawiła nawet kartki, że – tak a tak – „proszę nikogo nie winić z powodu mojej śmierci”, jak się zawsze robi. Alboż nie mogła się zastanowić nad tym, że może sprawić kłopot nawet Łukierii: „Sama przy niej byłaś, no i wypchnęłaś ją.” Co najmniej by ją niesłusznie obryzgano, gdyby nie to, że cztery osoby przez okna w oficynie widziały, jak stała z obrazem w rękach i jak sama wyskoczyła. Ale to przecie także przypadek, że ludzie stali i widzieli. Nie, to wszystko – moment, jeden tylko nieobliczalny moment. Raptowność i fantazja! Cóż stąd, że się modliła przed obrazem? To nie znaczy, że – przed śmiercią. Wszystko to trwało może ledwie dziesięć minut, cała decyzja – wtedy mianowicie, kiedy stała pod ścianą z głową przytuloną do dłoni i uśmiechała się. Nawiedziła ją przelotna myśl, zawirowało jej w głowie, tak, tak... że się jej nie zdołała oprzeć.

To wyraźne nieporozumienie, mówcie, co chcecie. Ze mną jeszcze można by żyć. A jeżeli to niedokrwiistość? Po prostu z powodu anemii, z wyczerpania energii życiowej? Zmęczyła się podczas owej zimy – ot co!

Spóźniłem się!!!

Jaka ona szczupłutka w trumnie, jak się wyostrzył kontur noska. Rzęsy leżą jak strzałki. I przecie, kiedy upadła, nic sobie nie zgruchotała, nie złamała. Tylko ta jedna „krzynka krwi”! Ot, łyżeczka desery. Wstrząs wewnętrzny. Dziwaczna myśl: gdyby można było jej nie pochować? Bo jeżeli ją wyniosą, to... och nie, to prawie niemożliwe. Och, wiem dobrze, że muszą ją wynieść, nie jestem obłąkańcem i wcale nie mówię od rzeczy, przeciwnie, nigdy nie rozmowałem jaśniej... ale jakże tak: znowu nikogo w domu, znowu dwa pokoje i znów ja sam jeden z kasą pożyczkową. Maligna, maligna, oto gdzie maligna! Zadręczyłem ją – oto prawda!

Cóż mnie teraz obchodzą wasze paragrafy Na co mi wasze normy, wasze obyczaje, wasze życie, wasze państwo i wasza wiara Niechaj mnie sędzi ten wasz sędzia, niech mnie postawy przed

waszym sądem, przed waszym jawnym trybunałem – a powiem, że się do niczego nie przyznaje. Sędzia zawoła:

– Proszę milczeć, oficerze!

A ja mu odkrzyknę:

– Gdzie znajdziesz teraz taką siłę, co mnie skłoni do posłuchu? Czemu ponury bezwład zniszczył to, co mi jest ponad wszystko drogie Cóż mi teraz wasze prawa. Ja się wyłączam. Och, wszystko mi jedno.

Ślepa, ślepa, martwa, nie słyszy. Nie wiesz, jakim rajem byłbym cię otoczył! Raj był w mojej duszy, byłbym go roztoczył wokół ciebie! No cóż, ty byś mnie nie kochała – niech tam, i cóż z tego. Wszystko byłoby tak samo. Opowiadałabyś mi tylko, ot, jak przyjacielowi – i dobrze by nam było, i śmiałybyśmy się, pogodnie patrząc sobie wzajemnie w oczy. No i tak byśmy żyli. A gdybyś nawet pokochała innego – no trudno, niech tam. Chodziłabyś z nim, uśmiechnięta, a ja bym patrzył z drugiej strony, obcy. Och niech tam, byleby tylko chociaż raz otworzyła oczy! Na jedno jedyne mgnienie! Żeby spojrzała na mnie ot tak, jak jeszcze tak niedawno, kiedy stała przede mną przysięgając, że będzie wierną żoną! Ach, w jednym spojrzeniu zrozumiałaby wszystko!

Martwota! Och, naturo! Ludzie są samotni na ziemi – w tym tragizm. „Czy jest w polu żywy człowiek” – woła rosyjski heros. Wołam i ja – chociażem nie heros – i nikt się nie odzywa. Powiadają, że słońce żywi wszechświat. Wzajdzie słońce i – popatrzcie nań, czy to nie trup. Wszystko martwe i wszędzie trupy, samotni tylko ludzie, a wokół nich milczenie – oto świat! "Ludzie, miłujcie się wzajemnie" – kto to powiedział? Czyje to wezwanie. Stuka, stuka wahadło, nieczule, dojmująco. Druga w nocy. Jej buciki stoją przed łóżeczkiem, rzekłbyś, że czekają na nią.

Nie, doprawdy, kiedy ją jutro wyniosą, co ze mną będzie?

+ BARBARA WYSOCKA

Aktorka, reżyser. Absolwentka Wydziału Aktorskiego i Wydziału Reżyserii Dramatu PWST w Krakowie. Wcześniej studiowała skrzypce w Hochschule für Musik we Freiburgu w Niemczech. Stypendystka Ministra Kultury w roku akademickim 2007/2008.

Jako aktorka zespołu Narodowego Starego Teatru w Krakowie wielokrotnie nagradzana za swoje role [Judyta w *Księdzu Marku* J. Słowackiego, Agnieszka w *8 Dniu Tygodnia* M. Hłaski, Cassandra w *Odprawie Posłów Greckich* J. Kochanowskiego, Aleksandra Billewiczówna w *Trylogii* H. Sienkiewicza]. Jej debiutem reżyserskim była *Klątwa* wg St. Wyspiańskiego w Starym Teatrze w Krakowie [2007]. Kolejne inscenizacje to *Kaspar* Petera Handke we Wrocławskim Teatrze Współczesnym, *Pijacy* wg F. Bohomolca w Starym Teatrze w Krakowie, *Opera Dokumentalna o Okrągłym Stole* Tadeusza Wieleckiego oraz *Anhelli* J. Słowackiego w Instytucie Teatralnym w Warszawie. W listopadzie 2009 odbyła się w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie premiera *Zagłady Domu Usherów* Philipa Glassa w jej reżyserii. Nominowana do Paszportu Polityki w dwóch kategoriach: teatr i muzyka poważna, otrzymała Paszport w kategorii muzyka poważna za debiut reżyserski w operze. We wrześniu 2010, w Teatrze Polskim we Wrocławiu, miała miejsce premiera *Szasy Wołokołamskiej* Heinerja Müllera w jej reżyserii.

+ MIREK KACZMAREK

Absolwent Wydziału Komunikacji Wizualnej na ASP w Poznaniu. Pracował z Piotrem Kruszczyńskim m.in. przy *Odejściu głodomora* T. Różewicza [Wrocławski Teatr Współczesny, 2002], *Platonowie i innych* A. Czechowa [Teatr Polski w Poznaniu, 2003]. Ścisłe współpracuje z Janem Klatą: *Lachy Watykanu* A. Gidea [Wrocławski Teatr Współczesny, 2004] kostiumy, *Córka Fizjeki* wg Witkacego [Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu, 2004] scenografia, *Nakręcana pomarańcza* wg A. Burgessa [Wrocławski Teatr Współczesny, 2005] kostiumy, *Fantaśy* J. Słowackiego [Teatr Wybrzeże w Gdańsku, 2005] scenografia, *Weź, przestań* J. Klaty [TR Warszawa, 2006] kostiumy, *Transfer!* [Wrocławski Teatr Współczesny, 2006] scenografia,

Oresteja Ajschylosa [Narodowy Stary Teatr w Krakowie, 2007] kostiumy, *Szewcy u bram* wg Witkacego [TR Warszawa, 2007] kostiumy i projekcje wideo, *Sprawa Dantona* S. Przybyszewskiej [Teatr Polski we Wrocławiu, 2008]. Współpracował również z m. in. Jarosławem Tumajdajskim, Wiktoorem Rubinem, Pawłem Łysakiem i Łukaszem Gajdzisem. Otrzymał liczne nagrody za scenografię do *Sprawy Dantona* w reż. Jana Klaty na 33 Opolskich Konfrontacjach Teatralnych *Klasyka polska* [2008], I Międzynarodowym Festiwalu Teatrów BOSKA KOMEDIA w Krakowie [2008], MFT KONTAKT w Toruniu [2009]. Na IX Ogólnopolskim Festiwalu Dramaturgii Współczesnej w Zabrzu otrzymał nagrodę za scenografię do spektaklu *Szajba* w reż. Jana Klaty [2009].

+ LEA MATTAUSCH

Autorka zdjęć, filmów oraz instalacji multimedialnych, współpracuje z Barbarą Wysocką od 2006 roku, między innymi przy *Zagładzie Domu Usherów* Philipa Glassa w Operze Narodowej w Warszawie oraz przy *Szasy Wołokołamskiej* Heinerja Müllera w Teatrze Polskim we Wrocławiu.

+ ANDERGRAND MEDIA + SPEKTAKLE

zajmuje się projektowaniem przestrzeni medialnych i świetlnych oraz produkcją spektakli, instalacji, wystaw. Istnieje od 2010 roku. Siedziba w Warszawie.

dyrektor **PAWEŁ ŁYSAK**

zastępca dyrektora ds. ekonomiczno-administracyjnych, główny księgowy

MICHAŁ WOJTUS dramaturg **ŁUKASZ CHOTKOWSKI** koordynator pracy artystycznej

BERNADETA FEDDER kierownik działu techniczno-gospodarczego **WALDEMAR**

GRACZ montażyści sceny **ARTUR EKWIŃSKI** brygadzysta technicznej obsługi

sceny **ZBIGNIEW CZERNIAK**, **ANDRZEJ KOTOWSKI**, **JAROSŁAW KUBIŃSKI**, **MARIUSZ PAWLIKOWSKI**, **ROMAN PIETRZAK**, **PIOTR ZAWADZKI** pracownia elektro-akustyczna

ROBERT ŁOSICKI (kierownik), **LESZEK DRYGAS**, **SZYMON GRODZKI**, **ŁUKASZ**

SZYMBORSKI, **DAMIAN WESOŁOWSKI**, **EUGENIUSZ WIŚNIEWSKI** pracownia krawiecka

EWA STAŃSKA (kierownik), **ALINA TADYCH**, **ALDONA WŁOCH** pracownia fryzjerska

JADWIGA MŁYNARCZYK rekwizytor **EUGENIUSZ BARANOWSKI**, **WIESŁAW MITORAJ**

stolarze **KRZYSZTOF PAWLAK**, **WITOLD WŁOCH** ślusarz **JAROSŁAW ANDRYSIAK**

garderobiane **OLGA BETAŃSKA**, **JADWIGA KAMIŃSKA**, **KATARZYNA WYSOCKA**

dział promocji i marketingu, biuro festiwalu prapremier **BERNADETA FEDDER**

(p.o. kierownika), **AGNIESZKA HANYŻEWSKA**, **KATARZYNA KAMERDUŁA-GAPIŃSKA**,

KAJETAN SOLIŃSKI kasa **MAGDA IGIELSKA**, **IWONA LEWANDOWSKA**

rezerwacja i sprzedaż biletów tel. 052 33 97 818, poniedziałek – nieczynne,

wtorek–piątek 12.00–18.00, rezerwacje internetowe: www.teatrpolski.pl

projekt graficzny programu **HOMEWORK**

sponsorzy



Partner
mediów



Partner
mediów



współpraca



ZE ZBIORÓW
Instytutu Teatralnego

TEATR POLSKI
im. **HIERONIMA KONIECZKI**
W BYDGOSZCZY
tel./fax **48 52 33 97 820**
tel. **48 52 33 97 812**
al. **MICKIEWICZA 2**
85 - 071 BYDGOSZCZ
mail: **TP@TEATRPOLSKI.PL**

WWW.TEATRPOLSKI.PL

